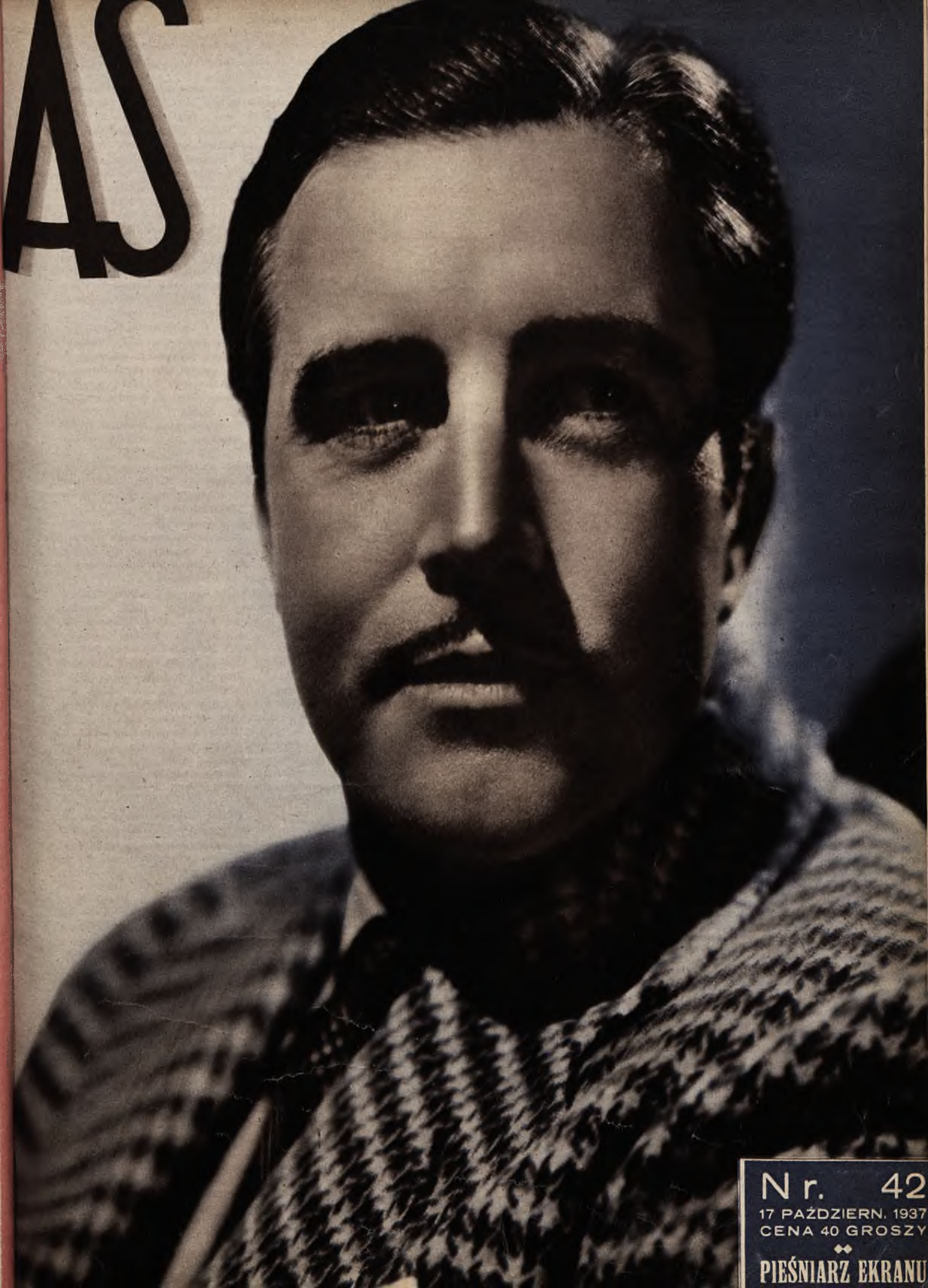

AS
Nr. 42
17 PAŹDZIERN. 1937
CENA 40 GROSZY
PIEŚNIARZ EKRANU

HISTORJE KSIĘŻYCOWE



Na ziemi oglądanej z tajemniczych wąwozów księżyca, byłyby widoczne kontury lądu stałego, którego życie stoi pod wpływem bladej planety poetów.

Ileż benedyktyńskiej iście pracy trzebaby na to, gdyby się chciało — w formie antologji — zestawić wszystkie utwory poetyckie na przestrzeni różnych wieków i literatur, w których księżyc występuje jako niezbędny rekwizyt, lub figura poetycka!

Czyż można wogóle wyobrazić sobie poezję romantyczną bez tego bladego kochanka ziemi — księżyca, który nadał jej poezji miano „moonshine-poetry" — poezji blasków księżycowych?!

Ale nietylko w poezji romantycznej, przepojonej szczególniej melancholją srebrnych blasków księżycowych, odgrywa księżyc taką dominującą rolę — jest również pełno jego magicznych promieni i w malarstwie i w muzyce, zwłaszcza Chopina, Schumana, Schuberta, a przedewszystkiem Beethovena (Sonata księżycowa).

Nie może zresztą być inaczej, bo życie ziemi i jej mieszkańców sprzęgło się nierozerwalnie z tym tajemniczym i niesamowitym — w swym wpływie — satelitą ziemi.

Prastarą jest wiara, że księżyc wpływa na losy ziemi i jej mieszkańców.

Dużo z tego, co się mówi o tym wpływie, jest zapewne może przesądem (przynajmniej jak dotąd), natomiast istnieją liczne zjawiska, które bezwarunkowo muszą stać w bezpośrednim związku z księżycem i jego zmiennemi losami (pełnia, nów i t. d.).

A więc zarówno przypływ, jak odpływ morza, następujące po sobie pod wpływem siły przyciągania księżyca, jak i objawy lunatyzmu u ludzi i zwierząt.

Najnowsze badania wykazały ostatnio jeszcze jeden szczegół o wpływie księżyca.

Poprostu nie można inaczej wyjaśnić — jak tylko wpływem księżyca — pewnego dotąd niezrozumiałego zjawiska, t. zw. „fenomenu palolo". Na wodach mórz południowych żyje między rafami koralowemi robak palolo (eunice Viridis). Jest to sobie całkiem poczciwe i niepokaźne stworzonko i — wyjąwszy Polinezyjczyków, którzy je zjadają — nikt inny z pewnością nie zatroszczyłby się o nie, gdyby ten (czy to) palolo nie... rozmnażał się w niezwykły sposób.

Oto nie mniej ni więcej tylko w tym samym czasie oddzielają się u obu płci odwłoki na krótkie samodzielne bytowanie i bujają na powierzchni morza. Tu wydzielają zarodki, które łączą się w wodzie i w ten sposób powodują zapłodnienie.

Polinezyjczycy nazywają te oddzielone cząsteczki ciała — „palolo" — i łowią je jako przysmak.

Wedle twierdzenia tychże Polinezyjczyków można łowić palolo tylko dwa razy do roku, a mianowicie w październiku i listopadzie.

I teraz właśnie następuje rzecz najdziwniejsza. W obu tych miesiącach palolo bujają we wodzie tylko w nocy przed ostatnią kwadrą księżyca i to niezależnie od pogody i zachmurzenia.

Dwu uczonych przeprowadziło — niezależnie od siebie — badanie nad punktualnością księżycową palolo i doszli do zgodnych rezultatów, z których wynikał bezspornie — związek przyczynowy między palolo a... księżycem.

Dobrze... ale jak należy rozumieć ten związek, albo go wytłumaczyć? Byłoby to zgoła niezadowalającem, gdyby się przyjęło przypadek jako przyczynę.

Wielu uczonych głowiło się nad rozwiązaniem tej zagadki, podając różne wyjaśnienia, ale żadne nie mogło ich zadowolić. Najtrafniejszą wydaje się teorja Dahma. Dahm obliczył mianowicie, że księżyc w owym dniu rui palolo był w orbicie obrotu ziemi i skutkiem czego siła przyciągania księżyca spowodowała przyspieszony obrót ziemi. I ten właśnie przyspieszony obrót ziemi ma być przyczyną zjawiska „palolo".

Wedle teorji Dahma szereg jeszcze innych przejawów życia organicznego stoi w związku z szybkością obrotu ziemi.

Rzecz jasna, że rozpatrywać można tylko te zjawiska, które dadzą się naukowo wyjaśnić.

Trudno naprzykład tłumaczyć wpływem księżyca, tajemnicze fale i promienie kosmiczne, bo to równie dobrze nie wystarcza, jak wyjaśnienie tych zjawisk przez przypadek.

W szeregu doświadczeń stwierdzili Aurhenius i Ekholm wpływ obrotu księżyca na elektryczność powietrza, a przez to samo na pogodę i klimat.

Wprawdzie niektórzy meteorologowie kwestjonują ten wpływ, ale nie mogą równocześnie dowieść, aby... tak nie było.

Jedno jest rzeczą niemal bezsporną, że księżyc wpływa na wzrost roślin. Jest faktem ogólnie znanym, że wielu chłopów i ogrodników kieruje się ściśle według księżyca — przy zasiewach i sadzeniu, t. zn., kiedy księżyca przybywa, sieje się i sadzi to, co dojrzewa ponad ziemią, a gdy księżyca ubywa — te rośliny, które mają bulwy (np. kartofle, buraki itd.).

To samo można obserwować u wszystkich ludów pierwotnych, a zwłaszcza u Indjan meksykańskich, gdzie istnieje następujący „przepis": „Kiedy księżyc pokazuje swe rogi ku górze (rośnie), sadź banany, a kiedy zwraca je ku dołowi (ubywa go), sadź Yukę i camotes (rośliny bulwiaste)".

Niektóre szczepy indjańskie używają do budowy swych chat lianów, które trzymają się wówczas dobrze, jeśli ścina się je przed nowiem. Również łodygi bambusu przy przybywającym księżycu mają napełniać się w trzech częściach wodą, natomiast przy ubywającym księżycu nie zawierają wogóle wody.

Wielu badaczy starało się to zjawisko wytłumaczyć w rozmaity sposób i stwierdzić eksperymentalnie słuszność, czy też niesłuszność tych „przesądów".

Najbardziej przemawiającym do przekonania tłumaczeniem wspomnianych powyżej zjawisk wydaje się wyjaśnienie Arrheniusa, że księżyc wpływa na elektryczność powietrza, a przez to na pogodę.

Z pośród wielu innych „wierzeń" księżycowych należy wspomnieć jeszcze o przekonaniu, jakie utrzymuje się na Górnym Śląsku, że rosnący księżyc ujarzmia burze.

Jeszcze jedno zjawisko tłumaczy Brümer związkiem, jaki zachodzi między obiegiem księżyca a elektrycznością powietrza.

I tak np. zwierzęta domowe mogą być kastrowane, gdy ubywa księżyca, bo inaczej byłoby krwawienie zbyt silne, natomiast operację podniebienia u koni należy przeprowadzać, gdy przybywa księżyca, bo w tym właśnie wypadku wskazanem jest silne krwawienie. Jeszcze całkiem inne działanie księżyca polega na jego właściwości, jako źródła światła.

Tu należy wymienić przedewszystkiem lunatyzm. W większości wypadków musi przyjąć się wpływ światła księżyca na zamknięte oko śpiącego, jako przyczynę jego nocnej wędrówki. W kilku wypadkach stwierdzono eksperymentalnie następujący fakt: Jeśli okno było szczelnie zasłonięte przed światłem księżyca, a w pokoju obok paliła się świeca, wówczas lunatyk, zamiast do okna, szedł do sąsiedniego pokoju.

Od księżyca, jako od źródła światła, zależy odlot i przylot ptaków przelotnych. Chociaż meteorologowie nie zdołali wystarczająco wyjaśnić terminu przylotu i odlotu ptaków — to jednak Dörr stwierdził, że owe terminy zależne są od pełni księżyca.

Różnorodny i wieloraki jest wpływ księżyca na życie ziemi.

Zresztą, czy kto z nas — zwłaszcza w młodych latach — nie czuł się dziwnie wzruszonym i melancholijnie usposobionym w srebrną noc księżycową, wpatrując się — jak urzeczony — w jego pyzate oblicze, jakgdyby wyrozumiale uśmiechnięte?! Wszystkie nasze najmilsze przeżycia, pierwsza miłość i umówione spotkania, marzenia i tęsknoty — wszystko to w wspomnieniach naszych osrebrzone jest blaskiem bladego kochanka ziemi, księżyca, który był, jest i zapewne będzie dyskretnym świadkiem i najwierniejszym powiernikiem zakochanych i stęsknionych serc.

Tadeusz Biliński.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2



ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY
CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 42 **Niedziela, 17 października 1937** **Rok III**

ASY NUMERU 42-GO:

Za przykładem Anglji, w której biegi myśliwskie należą do narodowych rozrywek, stają się one i u nas coraz bardziej popularne. Nic w tem zresztą dziwnego gdyż bieg myśliwski daje nietylko wiele satysfakcji sportowej, ale też dzięki przemierzaniu konno dużych nieraz przestrzeni pozwala uczestnikom podziwiać piękno krajobrazu, spowitego w jesienną szatę. Ostatnio odbył się w majątku Wolicy, własności p. Heleny Płockiej, bieg myśliwski, którego organizacją zajęła się energicznie sama właścicielka majątku. Trasa biegu prowadziła przez piękną równinę pól, często przerywaną spadzistemi urwiskami Wisłoki. W biegu wzięły udział panie: Sękowska, Kowalczewska, i Balko, oraz panowie: Byszewski, Wieleżyński i Lipiński. Po skończonym biegu wszyscy uczestnicy zebrali się w gościnnym dworze p. Płockiej w Wolicy, omawiając wrażenia z wyprawy. Na zdjęciu: Dojeżdżacz ze sforą psów na trasie w Wolicy. *Fot. „As".*



Ozdobna misa na owoce z serwisu „łabędziego" z miśnieńskiej porcelany, zamówionego przed 200 laty przez hr. Brühla.

Arcydzieła z gliny

Wsztywnych i zadumanych muzeach, w prywatnych apartamentach zbieraczy, w zamkach i pałacach stoją za szkłem gablotek i szaf porcelanowe figury; piękne berżerki zbierają owoce, amorki przybrane w kwiaty otaczają jakąś boginię, szlachcice z podgoloną czupryną, pokręcają z fantazją wąsa... Turyści przystają chwilę prezd gablotką i idą dalej... Dopiero koneser wie, że te figurki i talerze, że te wazony i filiżanki to prawdziwe Ludwigsburgi, Frankenthale, Höchsty, Wiednie i Meisseny! — W tych kruchych arcydziełach odszukać można ducha minionych czasów, poznać jego dążności, upodobania, technikę i postęp.

Gdy przypadkiem, jaki nieraz występuje w dziejach narodu, tron polski objął imć elektor saski August, Mocnym zwany i gdy na dworze warszawskim ukazały się postacie w perukach pudrowanych, z szpadką u boku, szwargoczące nieznanym językiem, trudno było przewidzieć jak ułożą się nasze późniejsze losy. Ułożyły się tymczasem jaknajgorzej, rządy Sasów były wstępem do rozbiorów. Ale przyniosły nam pewne nowości, które dzisiaj, z perspektywy lat dwustu, nierozerwalnie złączyły się z obrazem naszej ówczesnej kultury. Przyniosły możnym ściślejszy kontakt z zachodem, przyniosły wzmożony wyścig w zbytku, galanterję dotąd nadto sarmacką i pozbawioną finezji i przyniosły nam Meisseny...

W niejednym jeszcze dworze, jak ongiś w Soplicowie, mimo pożogi wojennej i klęsk, znaleźć można tych świadków dawnego wykwintu: serwisy, czary, figurynki, drobne cacka z porcelany. Bo też do mody ówczesnej należało kupowanie tych rzeczy, do dobrego tonu. Mimo odporności materjału, ludzie XVIII wieku postanowili wyrazić swe makaronizmy stylu w porcelanie, naginając oporną kaolinę do swych kaprysów, wijących się przez życie jak wstążeczki i girlandy rococa. Nic dziwnego, porcelana była nowością!

Wyszła ona podobno w Europie z tygla alchemika, pomocnika samego Augusta Mocnego, Böttgera, który szukając, złoto znalazł... porcelanę. Mecenas sztuk pięknych, modelujący swe czyny i gesty na Ludwiku XIV, August II, król Polski i wielki książę litewski, ale nadewszystko Kurfürst saski, zakłada manufakturę porcelany w Meissen, czyniąc jej dyrektorem szczęśliwego alchemika. — Dziwny to był człowiek: przesiedziawszy się w różnych więzieniach za próby alchemiczne, rzucające nań cień kacerstwa, Böttger otrzymuje od elektora pracownię w okolicy pałacu drezdeńskiego, Belvedere, w którem, w r. 1708 wynalazł czerwoną glinkę, nadającą się do fabrykacji naczyń, a w rok później udaje mu się pierwsza próba spreparowania porcelany. W r. 1713 zjawiają się na targach lipskich pierwsze przedmioty porcelanowe. Pierwsze próby, jeżeli chodzi o figurki szły w kierunku stworzenia imitacji chińskich wyrobów. Owe „chinoiseries", „chiń,szczyzna" łączy się ściśle z modą owych czasów, która nawet słynnym malarzom jak Watteau, kazała malować obrazy utrzymane w tonie „chińskiego rokoka", pełnego domniemanego egzotyzmu. Böttger umiera w r. 1719, a kierownikiem fabryki, która w r. 1740 zatrudniała już 218 robotników, w r. zaś 1765 aż 731, — zostaje malarz Jan Grzegorz Herold. Oczywiście, że cały elegancki świat saski i poczęści polski popiera nową fabrykę, która pracuje na zamówienie. Olbrzymi wpływ ma na rozwój manufaktury hrabia Brühl, powiernik Augusta i polski minister stanu. Powstają cudne serwisy w stylu chińszczyzny, a talerze, wazy i inne przedmioty pokrywano „indjańskiemi kwiatkami"; do ulubionych tematów dekoracyjnych należą smoki, feniksy i tygrysy. Kolory tych porcelan mają wy-



Stare figurki miśnieńskie, przedstawiające (od lewej) zimę i jesień, ze zbiorów autora. *Fot. P. Oleksijenko — Szamotuły.*



„Wenus z amorkiem", stara porcelana miśnieńska, ze zbiorów hr. Chodkiewiczów. — Muzeum Narodowe w Krakowie.



Na prawo: „Króliki", nowa porcelana miśnieńska, ze zbiorów autora. — *Fot. P. Oleksijenko — Szamotuły.*

gląd pastelowy, nieśmiało jeszcze rzucone ręką artysty, bo technika malowania i wypalania pozostawia jeszcze dużo do życzenia. Ale wkrótce fabryka miśnieńska nie poprzestając na serwisach, poczyna fabrykować figurki różnych pasterek, bogiń, postaci alegorycznych, pyzatych chłopaków, amorków, a nawet wypuszcza na rynek całe domki, kościoły itd. z porcelany. Wszystkie te drobiazgi, dziś będące białemi krukami, służyły do dekoracji stołów. To co czytamy w „Panu Tadeuszu" o porcelanowej zastawie polskiego stołu biesiadnego, było też modą gdzieindziej, u nas może dłużej przetrwała. W inwentarzu „cukierni" hrabiego Brühla znajdujemy 4 porcelanowe kościoły, 2 wieże włoskie, 13 chat chłopskich, 48 piramid itd.

Z chwilą, kiedy możni panowie za przykładem króla popierają manufakturę miśnieńską, dochody jej rosną szybko: w r. 1740 wynoszą one 38 tys. talarów, w r. zaś 1752 już 222 tys. talarów. Nic w tem dziwnego, wszak fabryka pozyskuje takiego artystę, jak Jana Joachima Kändlera, twórcę słynnych figur świętych oraz licznych wspaniale modelowanych zwierząt i serwisów. On to jest twórcą słynnego serwisu Sułkowskich, zamówionego przez ulubieńca królewskiego, grafa Aleksandra Józefa Sułkowskiego. Chociaż sama faktura jest jeszcze nieraz naiwna, to jednak kompozycja doskonała: talerze i naczynia wszelkiego rodzaju obsypane są owemi „indyjskiemi kwiatami", brzeg zdobi bordiura, przypominająca plecionkę ze słomy, a zarówno wazy, lichtarze itd. podtrzymują potężne lwy, kobiety-rusałki, wszędzie zaś widnieje tarcza herbowa Sułkowskich i herb bar. von Stein zu Jettingen, z których pochodziła małżonka hr. Sułkowskiego. Niemniej wspaniały jest słynny serwis „łabędzi" hr. Brühlów, składający się z 1400 sztuk, a znajdujący się obecnie w zamku Brühlów Pförten. Nazwę swą zawdzięcza on łabędziom, występującym w serwisie jako stały temat dekoracyjny. I tam również tarcze herbowe hr. Brühlów i hr. Kolowrat-Krakowsky'ch dodają barwności swemi licznemi kolorami pól. Kändlera największem dziełem jest może konna statua króla Augusta II w wielkości naturalnej, takiej, jaką posiada pomnik jego, znajdujący się w Dreźnie na Neustädter Markt. Znana jest też figura tego króla w polskim stroju, będąca wspaniałym jego portretem. Kupiwszy w r. 1717 od feldmarszałka hr. Flemminga pałacyk porcelanowy w Dreźnie, August II powziął plan udekorowania go najpiękniejszemi okazami porcelany, jak to zresztą było naówczas w modzie.

Trudno powiedzieć ogólnikowo, jakie arcydzieła powstawały w miśnieńskiej manufakturze: poza wspomnianemi serwisami, figurami itd., utrzymanemi w stylu konwencjonalnym epoki, fabryka zdobywała się na wiele oryginalności. Tak np. serwis do kawy w postaci dyni lub sosjerka w postaci liścia są bezwzględnie dostatecznym dowodem pomysłowości artystów. Nową epokę tworzy w rozwoju manufaktury miśnieńskiej, nowy dyrektor jej włoski hrabia Kamil Marcolini, obejmując jej kierownictwo w r. 1774. — W żargonie zbieraczy i antykwarzy poprzednie epoki znane jako „Saxe au point" ustępują teraz epoce „Marcoliniego".



„Trójka tancerzy", stara porcelana miśnieńska z około 1780 roku. — Ze zbiorów Muzeum Narodowego w Krakowie



Na lewo: W tej oto pracowni państwowej manufaktury porcelany w Miśni powstają kruche, ale wspaniałe arcydzieła.



Poniżej: „Paryżanka" nowa porcelana miśnieńska z czasów przedwojennych, ze zbiorów autora. — *Fot. P. Oleksijenko — Szamotuły.*

Zależnie od epoki swego rozwoju, zmieniają się też znaki fabryczne „Meissenów", oczywiście tylko nieznacznie.

Od r. 1723 oznaczano porcelanę literami K. P. M. (Königliche Porzellan Manufaktur), albo też K. P. F. (Kön. Porz. Fabrik), później zaś dwoma skrzyżowanemi mieczami, stanowiącemi część królewskiego herbu Saksonji. Od r. 1731 porcelanę zamówioną przez króla określano znakiem AR. (Augustus Rex). W latach 60-tych XVIII w. kładziono pod mieczami punkt (Saxe au point), za czasów Marcoliniego gwiazdę.

Powoli „Meisseny" przestały być tylko zbytkiem możnych, zyskując coraz szerszą klientelę. W Europie utrzymują po dziś dzień poważne miejsce, ciesząc się marką „starej firmy". Wspomnieć warto, że i w XIX, jak też w XX wieku porcelana meisseńska nic nie straciła z swej artystycznej wartości, fabryka bowiem zatrudnia w dalszym ciągu wybitnych modelarzy, malarzy i in. U nas pamięć o wspólnych z Saksonją losach i owych czasach, kiedy Drezno było drugą stolicą Polski, zachowaliśmy w określeniu czegoś wytwornego i filigranowego jako „saskiej figurki", również filigranowej, jak nasza unja z ojczyzną kochanka hrabiny Cosel.

J. Maleszewski.



Waza z słynnego serwisu hr. Sułkowskich, który wyszedł z manufaktury miśnieńskiej 200 lat temu

CHOPIN W ANEGDOCIE

Dzień 17 października przypomina chwilę, w której w r. 1849, w Paryżu przy Place Vendôme zgasło na zawsze życie Fryderyka Chopina. Wsłuchując się w jego kompozycje odnieść można wrażenie, że człowiek stwarzający utwory tak pełne smętku i żałości był usposobienia cichego i bardzo smutnego. Tak jednakże nie było. Chopin od dzieciństwa, prócz wielkiej wrażliwości i romantyczności odznaczał się niezwykłą żywością i wesołością usposobienia.

Prócz talentu muzycznego posiadał on mało szerszym masom znany talent naśladowania głosu, ruchów i mimiki osób z jego otoczenia, połączony z zdolnościami aktorskiemi. Ileż to bywało sytuacyj komicznych, wywołanych przez jego żywy dowcip i ruchliwy umysł!

W r. 1825 przebywał mały Chopinek, jak go powszechnie wtedy nazywano, na wakacjach w majątku Szafarni, własności pana Dziewanowskiego, ojca jego serdecznego przyjaciela, Dominika. Zasłyszawszy raz, że pan Romocki, właściciel Oborowa sprzedał pszenicę pewnemu Żydowi, napisał do właściciela list, w którym łudząco podrobionym żargonem polsko-żydowskim donosił, że się rozmyślił i pszenicy nie kupi. List był tak znakomitem naśladownictwem, że stary szlachcic popadł we wściekłość, posłał po Żyda i byłby go, Bogu ducha winnego, wybił, gdyby „Frycek" na czas nie przyznał się do spłatanego figla.

Zamiast pisania obowiązkowych listów do domu wpadł na pomysł redagowania gazetki, nazwanej przez niego na wzór Kurjera Warszawskiego „Kurierem Szafarskim", w którym to podawane były wszystkie wydarzenia i najświeższe nowiny, podpisane odwróconem nazwiskiem Pichon. Dwa numery owej gazetki zachowały się wśród pamiątek po Chopinie. W jednym z r. 1824 spotykamy takie wiadomości krajowe: „D. 15 lipca r. b. na zgromadzeniu muzycznem w Szafarni, złożonem z kilkunastu osób i półosóbek, popisywał się pan Pichon i grał koncert Kalkbrennera, który atoli nie zrobił wrażenia, szczególniej na małych figurkach, ileż Żydek grany przez tegoż pana Pichon". — „Groźnym" cenzorem, zaopatrującym napisem „wolno posłać" odnośne gazetki, była panna Ludwika Dziewanowska.

W latach późniejszych, w czasie pobytu w Paryżu, przebywając w gronie serdecznych przyjaciół, również był pełen humoru i dowcipu, zwłaszcza gdy wśród zgromadzonych znajdował się ktoś świeżo z Polski przybyły. Siadając do fortepianu pobudzał do śmiechu zebranych, naśladując grę poszczególnych wirtuozów, parodjując własne mazurki i grając je tak, jak grali je, nie rozumiejący utworów jego współcześni domorośli artyści, t. j. wybijając ostro rytm w tanecznem tempie. Gdy kolega jego Józef Nowakowski prosił go o poznajomienie z Lisztem, Chopin powiedział: „Nie potrzeba, zaraz ci go pokażę" i siadłszy do fortepianu przybrał postać Liszta, naśladując wiernie jego gestykulację i mimikę. Tak samo potrafił naśladować słynnego pianistę Pixisa, co raz o włos nie wywołało skandalu. Jeden z przyjaciół Chopina, który widział, jak ten go naśladował, spotkał Pixisa w teatrze, a będąc przekonanym, że to znowu Chopin przybrał odpowiednią maskę, by go naśladować, uderzył prawdziwego Pixisa, którego nie znał, poufale po ramieniu ze słowami: „No, nie udawaj".

Chopin z natury łagodny i uczuciowy, w obejściu wytworny, posiadał takt i czar, który nie pozwalał nigdy gniewać się na niego, nawet wtedy, gdy płatał figle.

Charakterystyczna karykatura Chopina przez Legizeta.



Zamieszkali w domu pana Mikołaja Chopina pensjonarjusze z Kazimierzem Wodzińskim na czele, niejednokrotnie przysparzali wiele kłopotu guwernerowi Barcińskiemu, nie mogącemu ujarzmić i nakłonić do nauki rozbrykanej gromadki. Razu pewnego mały Chopin przyszedł z pomocą wychowacy, siadając do fortepianu i improwizacją uspakajając chłopców tak dalece, że ukołysani dźwiękami muzyki posnęl wraz z guwernerem Barcińskim.

Zawezwawszy w odpowiednim momencie matkę i siostry uderzeniem głośnego akordu, zbudził śpiących ku ogólnej wesołości.

Wrodzonym wdziękiem i czarem swej muzyki zdobywał serca w czasie swej podróży zagranicę. W r. 1828 w drodze do Berlina, gdy dyliżans zatrzymać się musiał koło Cyllichowa, Chopin dla zabicia czasu siada w mieszkaniu poczmistrza do fortepianu. Poczmistrz zwabiony grą artysty, przysłuchuje się jej wraz z podróżnymi i wkońcu zatrzymuje go, a tem samem i dyliżans, dodając później kurjerskie konie, by spóźnienie nadrobić. Do powozu wynoszą Chopina obecni na rękach i zostaje on obdarowany przez panią poczmistrzową!

Przebywanie od najmłodszych lat wśród sfer towarzyskich wyrobiło w nim zamiłowanie do zbytku i wytworności. W przeciwieństwie do artystów-cyganów lubił mieć ładne i eleganckie mieszkanie, o czem świadczą listy przez niego pisane z Nohant w początkach października 1839 do przyjaciela jego, Fontany, znajdującego się wtedy w Paryżu, a zawierające szczegółowe instrukcje, tyczące się urządzenia nowego mieszkania:, „...w przedpokoju każsz zawiesić firanki szare, co były w moim gabinecie z fortepianem, a w sypialnym te same, co były w sypialnym tylko pod spodem muślinowe białe z tych, co się znajdowały pod szarymi". Z zamiłowaniem otaczał się przedmiotami zbytku, lubił kosztowne etażerki, konsole i drobiazgi, z których najdroższe były mu te, które otrzymał w podarunku od rodziny, a przywiązany był do nich tak dalece, że niechętnie widział, jeżeli je ktoś brał do ręki, by je obejrzeć.

Wytworny był także w ubraniu na które zwracał dużo uwagi, raziło go też zaniedbanie u innych. Szczególną uwagę zwracał na dobór barw i kroju. W czasach warszawskich zabierał ukradkiem białe rękawiczki swym siostrom, nie mając pieniędzy na kupienie ich sobie, a obiecując im piękniejsze przysłać z Paryża. W listach z Nohant do Fontany poleca mu zamówić sobie najmodniejszy kapelusz u p. Duporta na ulicy Chaussée d'Antin, a u krawca Dautremont'a na bulwarze, każe mu wybrać spodnie szare na zimę i czarną aksamitną kamizelkę w malutki niekrzyczący deseń. — Przed koncertem zamawiał sobie u najlepszych krawców kilka fraków, jednak po przymierzeniu odrzucał je, wkładając w ostatniej chwili za obszerny na niego frak ucznia Gutmana i w tym wychodził na estradę.

Równie dobrze rozumiał się na toaletach kobiecych: rzuciwszy okiem na damę, momentalnie potrafił ocenić i barwę i krój sukni, oraz rozpoznać, czy wykonana została przez pierwszorzędnego, czy też przez podrzędnego krawca.

Nie lubił kosztem swego talentu zaspakajać czyjejś próżności. Będąc raz zaproszonym na obiad do pewnego dorobkiewicza, gdzie zmuszano go do gry, potrafił zdobyć się nawet na sarkazm, odpowiadając gospodarzowi: „Ach panie, ja tak mało jadłem". Jednakże gdy wiedział, że gra jego sprawić może komuś przyjemność i że może się nią przysłużyć, daleki był od wymawiania się. Gdy umierał Gotfryd Cavaignac, bratanek słynnego generała, znany historyk Louis Blanc usłyszał od konającego prośbę, że pragnąłby jeszcze raz w życiu usłyszeć piękną muzykę. Znając osobiście Chopina, pobiegł do niego z tą prośbą, a ten natychmiast udał się do konającego Cavaignac'a, gdzie na lichym fortepianie grał długo, przynosząc choremu duchową ulgę i umilając mu ostatnie chwile życia.

Przebywając w wirze życia towarzyskiego w Paryżu zdradzał niechęć do pisania. Według twierdzenia przyjaciela jego, Fr. Liszta, wolał czasem iść osobiście na drugi koniec Paryża, by odmówić wizytę, byle nie musiał pisać. Chętnie prowadził tylko korespondencję z serdecznymi przyjaciółmi i rodziną, rozkoszując się możnością posługiwania się językiem ojczystym.

Jak każdy nieomal artysta był wysoce zabobonny, nie znosząc siódemki i trzynastki, nie zaczynając też niczego w poniedziałki i nie postanawiając niczego w piątek.

Będąc niezwykle przywiązanym do kraju rodzinnego, na wiadomość o wybuchu powstania listopadowego, daje wyraz swemu nastrojowi w liście z Wiednia z dnia 1 stycznia 1831 r. do Jana Matuszewskiego przez krzyk zbolałego serca: „...ty idziesz na wojnę, wróć pułkownikiem.... Czemuż nie mogę być z wami... Czemuż nie mogę być choć doboszem!!!"

Mgr. Anna Nichthauser.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Najnowsze znaczki Republiki Francuskiej.

Polska ustanowiła prawdopodobnie i to całkiem niespodziewany rekord, jeśli chodzi o tak modne obecnie bloki. Otóż z kilku źródeł doszła nas wiadomość, że pojawiły się fałszowane (!!) bloki „Warszawa 1928“. Unaczono niemi zdaje się najpierw filatelistów włoskich, którzy nie mogli tak łatwo odróżnić ich od prawdziwych. Pierwszy ślad w poszukiwaniach za „naśladowcą“ wiedzie do Lwowa, ale właśnie może to być tylko mylny trop. Ciekawe, czy sprawa ta dostanie się kiedy w ręce prokuratora? Oczywistem jest, że falsyfikaty nie mogły być wykonane stalorytem, a także ząbkowanie musi wykazywać różnice.

Ucieszyliśmy się bardzo, gdy za przykładem p. Bronowicza, inny rodak z zagranicy napisał do nas i przesłał znaczki. Pan Blacha, zamieszkały w Syrji, skarży się zupełnie słusznie, że nie mógł otrzymać znaczków kolonjalnych, emitowanych dla propagandy wystawy paryskiej. Urzędnicy pocztowi musieli się dobrze obłowić, jeśli zatrzymali dla siebie wszystkie serje i zamiast po 11, sprzedawali je „z wolnej ręki“ po 40 franków. Zapewne i u nas część bloków odrazu z miejsca została wykupiona. Czytelnicy nasi, zamieszkali w Białymstoku, Tarnowie itd. itd., skarżą się słusznie, że sprzedaż t. zw. „okienkowa“ nie nastąpiła.

Zapowiedziany przez nas znaczek Francji, na pamiątkę 150 rocznicy ogłoszenia Konstytucji U. S. A. reprodukujemy obecnie (ze zbioru p. Skwirzyńskiego). W serji znaczków okolicznościowych nie zalicza się do piękniejszych, ale też nie psuje ogólnego poziomu. Orjentujemy się odrazu po cenie 1.75, że nastąpiła tam zwyżka opłat na listy zagraniczne, na skutek spadku franka. Czy Francji uda się powstrzymać dewaluację, dowiemy się wkrótce — jeśli nie, ukażą się dalsze nowe wartości marek. Narazie z „odwiecznej“ serji „siewczyni“ spotkaliśmy tylko jedną nową sztukę za 35 c. zieloną.

Znaczek dobroczynny za 65 c. z dopłatą 25 c. przeznaczoną na cele badań biologicznych lub w przenośni „pour sauver la race“ nie zyskał uznania w oczach naszych artystów. Wykonanie stalorytem i ładny kolor brązowo-fioletowy muszą się jednak każdemu podobać.



Blok znaczków niemieckich, wydany z okazji Zjazdu partyjnego w Norymberdze i przedrukowany specjalnym stemplem.

Innych nowości, poza czwartym (!) „Hitlerblokiem“ narazie nie zamieszczamy. Jest ich zresztą bez liku: serja z 15 sztuk gloryfikująca czyny Cezara Augusta, za którego przykładem zapewne Mussolini wysłał wojska do Abisynji („meo iussu ducti sunt exercitus in Aethiopiam“). Irlandja ze Św. Patrykiem za 2/6, 5 i 10 szylingów w formacie pionowym, która zresztą będzie rzadkością w polskich albumach, jubileuszowa serja na cześć prezydenta Łotwy, wreszcie ostatnie bloki: belgijski „Ysaye“ oraz San Marino. Miniaturowa republika używa zdaje się... maszyny do szycia przy ząbkowaniu tego rarytasu (10 zł) tak niechlujnie jest on dziurkowany.

To, co się wogóle dzieje ostatnio, przekracza granice wszelkiej przyzwoitości; a np. przydział „Brunatnej Wstęgi“ z nadrukiem ograniczono rzekomo do 5% przydziału wykonanego dla zeszłorocznego wydania. Oczywista rzecz, że przedrukowana „Wstęga“ zalicza się do rzadkości i kosztuje 10 Rm. Cenę „Daposty“ w handlu ustalili sobie kupcy zgóry, a teraz można ją kupić za połowę; „Zefib“ drożeje za to z dnia na dzień, na bloki hiszpańskie i sowieckie nikt się nie chce patrzeć, a najtrudniejszą jest w tem rola kronikarza, który musi orjentować się we wszystkiem i za fałszywe czasem proroctwa otrzymuje słuszne lub niesłuszne reprymendy od czytelników.

W. H.

AUKCJE. Od dnia 30 bm. do 10 listopada odbędzie się w Brukseli sprzedaż fenomenalnego zbioru kolonij angielskich, obejmującego prawie wszystkie wartości funtowe. Cena katalogowa sięga 2 miljonów pkt. Yverta. (Sprzedaż prowadzi firma W. Balasse, 61, Rue du Midi). Dorotheum, Wien I, Dorothergasse 11, licytacje w każdy wtorek i piątek.



WŚRÓD RUIN AKROPOLU

FOT. DR. WACŁAW SZPERBER — KRAKÓW.

OKULARY KACPERKA

WANDA KIESZKOWSKA

NOWELA

Zaraz po objęciu pierwszej posady nauczycielskiej rozwinęła panna Marja Brzoska szeroko skrzydła swej działalności pedagogicznej, rozpierana dumnem pragnieniem, by zadziwić cały świat wynikami swej pracy. Była młoda, zdrowa, zapalona do pracy, tętniąca siłą i energją, dla których dotąd nie znajdowała należytego ujścia. Więc w głowie jej się roiło od wielkich planów i pomysłów, a serce wzbierało ofiarnością i zapałem.

Placówka wyznaczona na pracę nauczycielską zdawała się być wymarzona dla niej: mieścina mała, zapadła, dziesiątki kilometrów odległa od kolei, ludność uboga i ciemna. Panna Brzoska była zachwycona. Trudności i niewygody nie przerażały jej: im bardziej zaniedbany był ugor, tem większą radością napełniała ją myśl o przyszłych plonach.

Starsi koledzy z nauczycielskiego grona spoglądali z uśmiechem pobłażania na młodą i uroczą koleżankę, która ze wspaniałem marnotrawstwem młodości szafowała wkoło czasem, zdrowiem i sercem. Większość z nich przeszła przecież kiedyś to samo. Po kilku latach skończyło się oczywiście wszystko: zapał, ofiarność, umiłowanie pracy, nawet przywiązanie do zawodu. — Wieczne kłopoty i niedostatek podcięły prędko skrzydła zapału, przeciążenie pracą stłumiło hojną ofiarność, beznadziejna tępota uczniów, ciemnota ich rodziców podkopały wreszcie zwątpieniem najprawdziwsze powołanie. Na dnie wszystkiego pozostało znużenie, zgryźliwe doświadczenie, uczące mądrze a oszczędnie odmierzać wysiłki i ironiczne pobłażanie dla porywów młodzieży.

— Niech próbują swych sił, póki jeszcze mogą. Przyjdzie kolej i na nich. — Na pannę Brzoską, jak i na każdego innego. A po nich nadejdą drudzy...

W stosunku do panny Brzoskiej nic nie zdawało się zresztą zapowiadać narazie takiego końca. Wszędzie było jej pełno, interesowała się wszystkiem, — zarówno teatrem amatorskim, kółkami samokształcącemi, jak i boiskiem sportowem, ofiarowując chętnie swój współudział we wszystkich imprezach szkolnych i we wszystkich okazując się niezastąpiona. Nie brakło jej nigdy czasu; zmęczenie zdawało się nie istnieć dla niej; patrzącym na nią zdawało się, że ma w sobie jakieś niespożyte zapasy sił, energji i zapału.

Nie wszystkie zresztą wysiłki panny Brzoskiej były uwieńczone natychmiastowemi, w oczy bijącemi rezultatami. Naprzykład klasa, — jej klasa nie przodowała bynajmniej w nauce, nie świeciła wzorowym przykładem w zachowaniu. A przecie panna Brzoska nie szczędziła naprawdę starań, by ogromnym nakładem pracy, kosztem własnych sił, podnieść ją jak najwyżej, zajmując się najgorliwiej zarówno całością klasy, jak i każdym uczniem z osobna. Cóż, kiedy sam zespół był tak jakoś nieszczęśliwie dobrany, że i przy największym wysiłku, trudno było cośkolwiek poradzić. Wiadomo, jak to bywa w szkole powszechnej, w zapadłej mieścinie, gdzieś na dalekim krańcu kraju położonej. Trochę rozdokazywanych urwisów, trochę bystrych spryciarzy, myślących o wszystkiem, tylko nie o nauce — reszta, pożal się Boże, same zaspane tępaki, niedorozwinięte matołki, przygłupki, — oto i cała klasa w komplecie.

Panna Brzoska, idąc jak zawsze po linji największego oporu, zabrała się energicznie do tych tępaków właśnie, wierząc święcie, że umiejętne postępowanie i odpowiednio zastosowany kierunek wychowawczy mogą z każdej istoty ludzkiej wykrzesać jakieś ukryte wartości, rozbudzić zaniedbane zdolności. Przedmiotem jej najbardziej pieczołowitych starań stał się Kacperek Libarek, najbardziej upośledzony zpośród wszystkich i najmniejsze też rokujący nadzieje. Już sam jego wygląd, — dziwnie przykry i nieszczęśliwy, — wskazywał na wyraźny niedorozwój umysłowy. Na koszlawym, pokręconym tułowiu wznosiła się ogromna głowa, wetknięta prawie bez szyi między dwa obwisłe ramiona; wpółotwarte usta, odsłaniające żółte, próchniejące zęby, krótkowzroczne, zezowate, prawie nic nie widzące oczy, dopełniały obrazu typowego idjoty wiejskiego. Był zresztą spokojny, milczący i niekłopotliwy, oddzielony od życia i ludzi murem bezgranicznej tępoty. W klasie siedział nieruchomy, zgarbiony, z otwartemi jak zawsze gapiowato ustami i mrugającem okiem, nie umiejąc powtórzyć najprostszego zdania z przed chwilą wygłoszonej pogadanki, nie widząc nic, co się pisało na tablicy, oddalonej od jego ławki o trzy kroki zaledwie. Cóż dziwnego, miał przecie chore oczy, wiedzieli o tem wszyscy i nikt nie wymagał za dużo od głupiego Kacperka. Więc choć od paru lat chodził do szkoły i wiekiem przerósł dawno swych kolegów, to jednak wciąż jeszcze nie umiał czytać i stracono nadzieję, czy się kiedy czegokolwiek nauczyć zdoła.

Panna Brzoska poświęciła mu się bez zastrzeżeń. Codzień po zamknięciu zajęć szkolnych zasiadała przy nim w ławce i podsuwając pod same oczy elementarz z obrazkami, wkuwała cierpliwie litera po literze cały alfabet w upartą, niedołężną mózgownicę. Kacperek przyjmował te wszystkie starania bez wdzięczności, z tępem, pełnem zaciętości poddaniem. Dodatkowe lekcje uważał poprostu za jakiś nowy, a wymyślny rodzaj udręczenia, od którego uwolnić się nie miał możności. Ha, trudno, słaby jest zawsze prześladowany przez mocniejszych. — Kacper Libarek, popychadło i pośmiewisko całej wsi, bity i poniewierany w domu, wydrwiwany przez kolegów, poszturchiwany przez przechodniów miał tego wymowne dowody na swej skórze. Nie, nie czuł żadnej wdzięczności do nauczycielki i nie myślał jej pomagać w pracy; nie mogąc się zdobyć na jawny sprzeciw, zadowolnił się utajonym oporem bezwładu, starając się jak najmniej słuchać, przyjmować i rozumieć jej słowa.



Ale panna Brzoska umiała dążyć do celu. Powoli, krok za krokiem z wielkim trudem i jakby wbrew woli, nauczył się wreszcie Kacperek rozróżniać litery, składać sylaby... czytać... pisać... Był to postęp nielada, jak na głupiego Kacperka, a dla panny Brzoskiej wielki, radosny triumf, którym nie mogła się poszczycić żadna z jej poprzedniczek. Ale była to dopiero połowa zakreślonych ambitnie planów, — pozostawała jeszcze jedna ważna sprawa niezałatwiona, prawdziwa bolączka, nagląca i paląca jak rana: szkła, szkła dla Kacperka, szkła, które pozwoliłyby mu brać normalny udział w lekcjach... czytać wszystko, co się pisało na tablicy... Panna Brzoska nie należała do osób, umiejących się zatrzymać w połowie drogi. Nie darmo przecie miała opinję najbardziej przedsiębiorczej i energicznej nauczycielki w szkole. Nabrawszy rozpędu po swem pierwszem powodzeniu, postanowiła po krótkim namyśle zawezwać do siebie matkę Kacperka na rozmówkę. Babuleńka stawiła się przed „władzą" punktualnie jak zegarek, zaniepokojona srodze, wygarbowawszy pierwej w domu uczciwie skórę chłopakowi, tak sobie na wszelki wypadek, podejrzewając, że z jego to przyczyny wzywają ją do szkoły, odrywając od uczciwej pracy. Panna Brzoska mądrze i uczenie wyłożyła jej swój wywód: jako że nauka stanowi największy skarb człowieka, którego mu nikt nigdy nie odbierze, że Kacperek porobił niespodziewane postępy, ale bez szkieł nie może brać należytego udziału w lekcjach, skąd już wniosek wynikał oczywisty, że Kacperkowi należy czemprędzej sprawić okulary, inaczej wszystkie starania pójdą na marne.

— Widzisz ją, jaka mądrala — myślała Libarkowa nienawistnie, kiwając z uszanowaniem głową w takt słów pani nauczycielki, żeby przecie nie odgadła trawiącej ją żółci — okularów się jej zachciewa! Jak to jej łatwo do cudzej kieszeni sięgać! Takiej chciwej na cudzy pieniądz to jeszcze u nas nie bywało!

Im dłużej myślała, tem większa złość w niej wzbierała, milczała przecież, uśmiechnięta przypochlebnie, czekając cierpliwie, aż pani nauczycielka zmęczy się wreszcie i wygada. Z całej przemowy panny Brzoskiej utkwiło jej w głowie jedno tylko słowo: wydatek i stało wciąż w pamięci, nie dając się niczem zatrzeć. Rada była tylko, że chociaż temu niedojdzie dobrze skórę wyłoiła przed wyjściem. Odrazu ją coś tknęło, że to przez niego...

— No i jakże będzie, moja pani Libarkowa z temi szkłami? — zwróciła się nauczycielka na zakończenie, wyczerpawszy wszystkie możliwe argumenty — kupicie mu je, prawda? Chłopak nie może się obejść bez okularów. Trzeba mu je koniecznie sprawić.

— A no cóż — westchnęła Libarkowa z ociąganiem, widząc, że się nie wymiga od odpowiedzi. — Jak trzeba, to trzeba. Od ust sobie chyba odejmę, a kupię, bo to pola mamy niedużo, a pszenica tego roku nie obrodziła, ziemniaki wygniły, a sześć gęb wy-

karmić trzeba. Ale kupię, jak się tylko do miasta wybiorę zaraz kupię, napewno, proszę pani nauczycielki kupię...

Uspokojona tem zapewnieniem postanowiła panna Brzoska cierpliwie czekać. Ale minął tydzień, dwa i trzy, przeszedł miesiąc jeden i drugi, a Kacperek Libarek wciąż chodził do szkoły bez szkieł na swych chorych oczach, jeszcze bardziej ponury i zastrachany niż kiedykolwiek, bo twarde pięści matczyne dobrze dawały mu się we znaki od czasu pamiętnej rozmowy z panią nauczycielką, którą też przywykł uważać wkońcu za sprawczynię wszelkiego zła. — Panna Brzoska nie wiedziała, co robić. Koledzy wyśmiewali się z niej, wzruszając lekceważąco ramionami, a sam kierownik szkoły, do którego miała największe zaufanie, rozkładał tylko bezradnie ręce, kiedy mu z oburzeniem opowiadała o swym kłopocie.

— Cóż pani chce — tłumaczył przekonywująco — oni tu często na życie nie mają, jakże mogą myśleć o okularach. Tu wre walka o chleb, o życie. A okulary — cóż, ani to do jedzenia nie służy, ani dobytku nie przysporzy...

— Cóż za ciemnota — oburzała się panna Brzoska. — U Libarków wcale nie jest tak źle.. Dowiadywałam się umyślnie... Pewnie, że nie opływają w dostatki, ale dziesięć złotych ostatecznie mogą wydać... I wydadzą. Ja ten upór przełamię. Bo tu chodzi o dziecko, o jego całą przyszłość.

Ale dyrektor kiwał z powątpiewaniem głową.

— Jest pani młoda i nie zna warunków— powiedział zniechęcony — to jest wieś — nie miasto. A nędza jest rzeczywiście duża. Dziesięć złotych nieraz dla nich cały majątek stanowi. Uporem i siłą nic pani nie zrobi: na upór pójdzie upór, na siłę znajdzie się podstęp. Najlepiej odrazu dać pokój. Ale że młodzież niechętnie słucha doświadczenia starszych, więc nie przeszkadzam — proszę, niech pani próbuje dalej.

I panna Brzoska próbowała. Zacięła się. Postanowiła postawić na swojem wbrew wszystkim pesymistycznym przypuszczeniom, wbrew ironicznym uwagom i utajonym drwinom kolegów.

Rozpoczęła się tedy dziwna gra między panną Brzoską nauczycielką, a starą Libarkową, wyrobnicą wiejską. Panna Brzoska systematycznie wzywała do siebie raz w tygodniu Libarkową, coraz ostrzej, coraz bardziej stanowczo, domagając się kupienia szkieł dla Kacperka; Libarkowa obiecywała wszystko, czego od niej żądano, skomliła na biedę, pokornie prosiła o przebaczenie; po każdej rozmowie Kacperek zbierał wciąż nowe guzy; a okularów jak nie było, tak nie było. Cała szkoła, całe nauczycielstwo zaczęło się wreszcie interesować temi dziwnemi, jedynemi w swoim rodzaju zapasami, śledząc z zaciekawieniem cały przebieg walki, w której zdawało się wszystkim, że panna Brzoska pierwsza ulec musi. Ot zmęczy się wkońcu, znudzi, pożałuje czasu i sił i da spokój. Wiadomo, jacy są młodzi! Zapalni jak ogień, ale wytrwałością nie zmierzą się ze starszymi! Tymczasem stało się jednak inaczej...

Kiedy wpadła pewnego sennego, szarego ranka do pokoju nauczycielskiego z płonącemi policzkami i błyszczącemi radością oczami, poznali po niej wszyscy, że musiało zajść coś nowego, coś bardzo ważnego. Była tak wzruszona, że przez dłuższy czas nie mogła znaleźć słów, choć widziała ciekawość malującą się na wszystkich twarzach.

— Kacperek, Kacperek Libarek, dostał nareszcie okulary! — wyrzuciła w triumfie, wodząc po zebranych roziskrzonym wzrokiem.

A... tego się naprawdę nie spodziewali, choć sama jej radość powinna ich była uprzedzić. Zwrócona do kierownika wyrzucała ze siebie teraz pośpiesznie krótkie, urywane zdania, w których zamknęła wszystkie swe myśli, uczucia i całą swą wiarę młodzieńczą:

— Widzi pan... widzi pan... wierzyłam... wiedziałam, że dobra moja wola i wytrwałość nie mogą zostać bez echa... że kiedyś wkońcu muszą wydać jakieś owoce... I nie zawiodłam się... i doczekałam się...

W miarę jak mówiła, nikła powoli ciekawość z otaczających ją twarzy, ustępując miejsca ledwo maskowanej niechęci i niezadowoleniu. .

— Uf, co za piła! Nic się tam wielkiego nie stało w gruncie rzeczy, ale teraz, kiedy jej się raz z temi głupiemi okularami udało, będzie już zawsze naturalnie przybierała tony triumfatorki, wykłuwając każdemu oczy swą „dobrą wolą“ i „pracą“, jak gdyby to ona jedna z nich wszystkich coś myślała i robiła.

Kierownik odchrząknął z zakłopotaniem, wyczuwając drażliwość sytuacji. Ale że był to człowiek dobry i ludzki, a przytem szczerze lubiący i ceniący pannę Brzoską, której zapał przypominał mu jego młode lata, jakże już dalekie, więc uśmiechnął się tylko, zadowolony, że może jej okazać życzliwość.

— No, sprawiła nam pani wielką niespodziankę — powiedział wesoło. — W imieniu kolegów winszuję powodzenia, a że na dziś skończyłem już swoje zajęcia, przyjdę na lekcję do pani zobaczyć, jak też to wygląda nasz Kacperek w tych tak długo oczekiwanych okularach.

— I ja, i my jeżeli pani pozwoli — rozległo się parę ciekawych głosów kolegów, którzy na widok życzliwości dyrektora zapomnieli niechęci i urazy.

Panna Brzoska kiwała głową uśmiechnięta i zadowolona.

— Oczywiście, oczywiście, — może to brzmi nawet trochę śmiesznie, ale dzień ten był dla niej rzeczywiście wielkim świątecznym dniem...

Widok kierownika szkoły, wkraczającego na czele całego prawie ciała pedagogicznego do klasy, był tak niezwykły, że dzieci wytrzeszczyły ze zdziwienia oczy, nie wiedząc, coby to oznaczać mogło. Sam triumfator dnia — Kacperek Libarek, zupełnie nieświadomy swej wielkiej roli, stał w pierwszej ławce, zastrachany, koślawy jak zawsze, zezując lękliwie zpoza szkieł, zsuniętych na sam czubek zadartego nosa.

— No, Kacperku — przemówił pan kierownik łaskawie, kładąc mu dłoń na ramieniu — słyszałem od twojej pani, żeś się nam poprawił i dobrze się uczysz. A myślę, że teraz, kiedy masz takie ładne okulary, przez które wszystko już dobrze widzisz — będziesz się jeszcze lepiej uczył. Tylko, tylko, mój chłopcze, jakoś niedobrze je założyłeś...

— Oh — tłumaczyła panna Brzoska skwapliwie, wsuwając pieczołowicie szkła na oczy swego pupila — on jeszcze nie umie się z niemi obchodzić, nigdy ich przecie nie nosił...

Kierownik stał teraz przed tablicą i wielkiemi, wyraźnemi literami kreślił najprostsze, dobrze dzieciom znane słowa: mama, tata, pies, kot.

— Pokaż nam teraz Kacperku, jak też ty widzisz przez te nowe szkła i przeczytaj, co ja tu napisałem.

Panna Brzoska uśmiechnęła się dumnie, wpijając błyszczące oczy w swego pupila, który ją tyle trudów i starań kosztował, a on stał nieporuszony, niezdarny, mrugając bezradnie oczami z za wielkich szkieł i... milczał.

— No, czekamy, Kacperku — zachęcał dobrotliwie pan kierownik.

Ale Kacperek milczał jak zaklęty.

Dokończenie na str. 20-tej





Na lewo: Kot perski „Miś", własność dr. Janczewskiej.

Na prawo: Drugi pers dr. Janczewskiej „Boy", otrzymał I nagrodę.

KOCIA REWJA w SIMIE

Rewja należała się również i kotkom. Tak zawyrokowały nietyle same koty, ile ich właścicielki, poza tem zgodna opinja wielbicieli kociego rodu i wreszcie najwyższy autorytet pani Zofja Arciszewska, która kotki w ub. niedzielę zaprosiła do swego „Sima" na I-wszy konkurs pt. „Pani i jej kotek".

Do konkursu stanęła kocia arystokracja w komplecie. Plebsu na lekarstwo, same księżniczki angory, królwicze sjamscy i perska szlachta z medalami, dyplomami itp. Kotki zajeżdżały przed Sima autami, w koszykach, wyścielonych puchowemi poduszeczkami, w jedwabnych kołderkach z herbem i monogramem. Jakiś rozkoszny srebrzysto-słomkowy sjamczyk z opaloną „buzią" zjawił się w gronostajowej etoli z pomarańczową kokardą. Sensację wzbudził czarny pers artystki dram. Martini, który na rewję przyszedł ze swoją panią „na piechotę"!

Wszystkie kotki śliczne, olbrzymie, puszyste, białe, czarne, srebrne, kremowe i rude, z oczami z topazu, aqua mariny i szmaragdów. Panie przywdziały tualety pod kolor kotków, w breitszwancach czarnych i popielatych lisach, srebrnych i polarnych, brylanty na paluszkach robią poważną konkurencję kocim oczom.

Koty są mocno zdenerwowane. Nie lubią takiego gwaru, jaki je tu otacza. Lepiej się czują w zacisznym buduarze, sam na sam ze swoją panią, wtulone w miękkie puchy kozetki. Lecz nie okazują tego. Siedzą na kolanach swych pań dumne, nieprzystępne, zda się obojętne na wszystko. Taka prawdziwa arystokracja Wschodu. Jeden tylko sześciomiesięczny młodzian, perski Ryżyk, czuje się w tym eleganckim tłumie pań i panów doskonale. Usadowił się na ramionach swej właścicielki i z tej wysokości rozgląda się wesoło.

Pani Mila Kamińska prezentuje sjamskie cudo Bambo. Kot sjamski należy do najpiękniejszych i najszlachetniejszych kotów. Rasy tej nie można krzyżować z żadną inną, dlatego utrzymała się w swojej pierwotnej czystości. Bambo jest jasnokremowy; głowa, uszy, ogon i łapy ciemno-bronzowe. Oczy niebieskie. Drugi taki sam okaz o śpiewnem imieniu Singa, należy do p. Wandy Stefanowskiej. Singa urodziła się naprawdę w Sjamie, a kupiona została na wystawie paryskiej. Obydwa kotki dostają naturalnie dwie pierwsze nagrody z grupy kotów sjamskich.

Kot perski, zwany również angorskim, jest najokazalszym przedstawicielem kotków długowłosych. To piękne zwierzątko zostało stworzone zdaje się tylko po to, żeby je pieścić i gładzić po dziwnie puszystej i jedwabistej sierści. Takiego cudnego pieszczocha, a właściwie pieszczoszkę białą angorę Zazę, z zielonemi oczami, przedstawiła p. Zofja Tatarkiewicz-Woskowska. Dwa piękne okazy perskie: srebrny „Boy" i migdałowy „Miś", to znów własność drowej Janczewskiej. Otrzymują pierwszą nagrodę z grupy kotów perskich.

P. Hania Pasierbińska w zielonej sukience prowadzi na zielonej wstążeczce i w zielonej kokardzie białego olbrzyma, prawdziwego Misia. Miś został na tę uroczystość świeżo wykąpany, zaprzeczając tym faktem złośliwym plotkom, jakoby kotki nie lubiały wody. Jeszcze jeden Misio, pers syberyjski, w pięknym migdałowym kolorze, przynosi prawdziwy zaszczyt swej pani Irenie Darlicz.

Kotki wprowadzała na estradę i prezentowała publiczność pani Kazimiera Skalska, która w roli konferansjerki zdobyła sobie za swój dowcip i humor gorące oklaski. Między innemi stwierdziła ona na zakończenie rewji, że u nas koty nie są w należytem poszanowaniu. Polska bowiem, jak długa i szeroka, cała jest wybrukowana „kocimi łebkami"!

Z. Ord.



Powyżej: Pp. Zofja Tatarkiewicz-Woskowska i Irena Horecka z kotką „Zazą"



P. Mila Kamińska z kotem sjamskim „Bambo".

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOTO FORBERT WARSZAWA

STANISŁAW WILCZYSKA-CHRUŚLICKI

MŁYN SŁONECZNY

SZKIC

Przycichli... Nad nimi przelatywały gwiazdy. Za oknem, na jeziorze ludzie przepływali i na błękitnej toni kładły się cienie srebrno-czarnych żagli. Płynęli na noc. Oparła głowę na dłoniach. Odwrócił się od czarnego kwadratu zacichłej za oknem przestrzeni. — Dziwił się.

— Co pani jest?

— Nic... już nic...

— Dojrzałem, jak poszarzał błękit w pani oczach...

— Nic mi nie jest. Tylko zdało mi się — że młyn ucichł —

— Młyn? — za drzwiami szarpie się wciąż... o... Oderwał się od szumiącej, czarnej mgły, zwartej sprzęgiem rozrzuconych okiennic, przed izbę do drzwi podszedł, otworzył je.

— Na kole rzeka się męczy — rozpada się miljonem iskier i świeci światłem nad drzewami zawieszonych gwiazd.

— Niech pan zamknie drzwi — szepnęła. Usłuchał.

— W taką noc, jak dziś, zawiedziona dziewczyna poszła tam — i dziś jest taka noc.

— Miłosna....?

— Chyba nie. Bo nad nami młyn huczy, miele, miele nocą czarny i straszny, w dzień słoneczny młyn. Koła szarpią się wiecznie i przesypują gwiezdną, niebieską wodę — idzie, idzie szumiący i zapracowany młyn, który nie miele nic...

— Jakże...?

— Od tego dnia, gdy Hanka umarła, na koła woda się sypie w dzień słonecznym piaskiem, a w nocy miljonem srebrnych iskier — kamienie zcierają się wiecznie — puste.

— Dlaczego tak?

— Bóg chyba wie — i on.

— Ten gospodarz?

— Ojciec Hanki...

— A ona?

— W młynie umarła —

— Pod nami — gdzie woda huczy?

— Zabiła się...

Z jeziora śpiew się przywłóczył, w złotych spadających liściach zaszeleścił, jak spokojny szept umęczonej duszy ludzkiej i kładł się słodkim, przedziwnym ciężarem na smutem szarych szyb i na bezczucie zasłuchanych serc obojga.

— Za oknem płacze w melodji księżycowy świat... — powiedział.

— Za oknem?

— I w nas....

— Dlaczego tak?

Czy ja wiem... smutno pani?

— Oni tam — śpiewają smutno — odpowiedziała cicho.

— A jest cudna, księżycowa, miłosna noc, kiedy się niebo pali gwiazdami — co oparły się na drzewach zmęczone.

— Gwiazdy?

— Odpoczęły...

— Na drzewach?

— Niech pani patrzy...

— Tyle gwiazd... tyle gwiazd...

— Odbiły się błękitem w oczach pani.

— Te tam?

— Odpoczęły w oczach... a pani marzy?

— Pan wie?

— Noc jest miłosna...

— Huczy młyn...

— Tam — na dole...

— Przesypuje się srebrna woda — i tam śpi — Hanka. — Odpoczęła... Oparła głowę na jego piersi — przesypywała mu do dłoni bezszelestne światło swoich złotych, niespokojnych włosów.

— Moja ty — wyszeptał.

— Cicho.... nie straszmy melodji...

— Kochana... kochana...

— Wiesz kochany — wczoraj siedziałam przy tem oknie, a tyś pod wieczór ze słońca tu szedł po tej zielonej drodze wśród szumiących drzew — tyś ze słońca powrócił?

— Za słońcem idę dzień w dzień — coś mnie tak pędzi i gna — coś mnie tak woła w pogodny dzień przed siebie iść, za drogą wśród drzew, zielonych drzew...

— Włóczęga mnie woła — taki zew — co zawsze ze świtem rozedrga się serdeczną melodją i w drzwiach się szarpie niewolny — aż wydrze się, wyszarpie się z szyb — i odejdzie.

— A ty kochany?

— Idę za nim. Codzień, codzień...

— Tak iść — przed siebie wciąż — w gonitwie rozpaczliwej w każdy słoneczny dzień? dzień?

— Muszę... muszę!...

— Biednyś...

— Moja ty!

— Słuchaj — słuchaj — a kiedy słońce się spóźni, ze świtem na niebo nie wyjdzie — dzień cały na chmurach się męczy, a deszcz po szybach dzwoni i drzewa przydrożne mokną w deszczu — ty idziesz?

— Idę kochana.... tylko w ten dzień jest mi smutno.

Zakryła oczy bólem ociężałych rzęs, przysłoniła niemi ciemną toń błękitnej serdecznej szarugi — aż przebiegł po niej spazm nagły, jak szarpnięcie jakieś, jak cień umilkłego wichru, zaginionego w jeziorze jeszcze wczoraj.

— Moja ty — moja — drżysz?

— Od okna chłód powiał na izbę....

— Od okna powiała melodja.

— Mówisz — o szczęściu?

— Słyszę je. Jest w drzwiach — tylko je otworzyć trzeba i przyjdzie ku nam w noc naszą miłosną.

— Otworzysz drzwi?

— Nie.

— Nie.

— Dlaczego tak?

— Bo huczy młyn — miele i miele — koło przesypuje piasek gwiazd, i noc jest krótka — a jutro zejdzie świt w kolorowych tęczach — i słońce zejdzie czerwone — i ja będę musiał iść....

— Jakże!?

— Odejdę... dlatego niech za drzwiami czeka szczęście.

— Boże... Boże... Boże!...

— Cicho najdroższa.

Przechylił się nad nią i wyczuł ciepło jej spragnionych ust, sklejone w jego chłodnych wargach — przytuliły się mocno, rozpaczliwie, bezgłośnie. Dyszeli sobą, w chłodnej, jesiennej nocy, zasłuchali się w dziwacznej półmelodji serdecznego kochania, w srebrnej, metalicznej tęczy gwiezdnej ciszy, która oplotła ich ramieniem bezsiły i bezwładu, że trwali tak i chłonęli siebie w tem umiłowaniu jak w śnie przedziwnym i szalonym śnie. Aż mówił:

— Moja ty... widzę, jak z oczu sypią ci się gwiazdy. Twoje błękitne łzy. A ja ci nie mogę powiedzieć nic, nie mogę cię pocieszyć, bo nie mogę zostać. Boże, mój Boże!... Dni przechodzą słoneczne — w deszczu szumiącym, wichrem szalejące w drzewach. Jesienne dni przechodzą, słońce się budzi po nocy, wstaje i idzie przede mną w dzień każdy i woła mnie, męczy, męczy... a ja idę. Nie oprę się, nie pozostanę na rozstajnych drogach, nie wrócę — pod krzyżem przydrożnym odpocznę i idę, idę włóczęga słonecznej tęsknoty, nieszczęsny włóczęga tęsknoty serdecznej... I już tak zawsze — ani mnie zatrzyma nikt, ani na kogo poczekam, ani przysiądę się kiedy na długo ,tylko idę i idę — do miast zaglądnę, na nędzę popatrzę, do okien zapukam pod wieczór, aż ludzie mnie przyjmą na noc i prześpię zmęczenie wśród nich, a ze świtem wstanę. I zawsze tak było — i wczoraj i jeszcze kiedyś i kiedyś — jutro tak będzie, już tylko, tylko tak. Ciężej się będzie pożegnać, smutno mi będzie się rozstać. Ale już taki mój los, życie już takie i ani je zmienię, ani się oprę tęsknocie. Tylko że mi na zawsze w pamięci zostanie wspomnienie tej nocy miłosnej, kochanej i cudnej — i tę melodję spamiętam — bo oni tam śpiewają tak smutno. To wszystko. A jutro odejdę.

Płakała rozpaczliwie.

— Ty — słuchaj...

— Kochana?

— Mówiłeś, że za drzwiami jest szczęście?

— Czeka, najdroższa.

— Ale ty odejdziesz... O Boże! Boże!.... słuchaj... słuchaj... szczęście za drzwiami jest — młyn, huczący młyn — koła, szalone oszalałe koła, co nie mielą nic. Szczęście, szczęście — słuchaj, bo ty odejdziesz ze świtem... to... wiesz, tam, za drzwiami — woda się przesypuje, jak słoneczny piasek w pogodny, jasny dzień — i — — i —— wiesz — za drzwiami — o! — — o — —

Szarpnęła drzwi i otworzyła je.

— Patrz — patrz! oszalały pojęk kół — huk spadającej rzeki — straszliwa melodja wściekłych, szarpiących się, samotnych kamieni — słuchaj — — tylko nachylić się trzeba — — o — — tak — — i — iść...! Kochany mój!....

— JEZUS!!

Zwalił się na ścianę, ale oderwał się od niej — przez izbę do drzwi rozwartych się dowlókł, męczył się, chciał krzyczeć, wołać, ale ucichł w sobie. W drzwiach się pochylił i na szarpiące się koła patrzył — — patrzył.

O świcie dzwon się rozkołysał w kościelnej wieży i ludzie przychodzili w procesji — w kolorowej procesji rozsłonecznionego jesiennego dnia. Złote drzewa z drogi aż pod słoneczny młyn zaszły i o ścianę się oparły, a ludzie uklękli i zaszeptali się w modlitwie — zasypywał ich deszcz z czerwonych liści — — czekali...

Przeszedł wśród nich i zagubił się na słonecznej drodze. Ludzie patrzyli za nim. — Długo — —

NIEBIESKI LIS
Ginger Rogers. — *Fot. Polonsky, Hollywood.*





Skrzydlaty wróg nadciąga...

Jedną z dziesięciu plag egipskich, zesłanych, jak wspomina Biblja, na kraj Faraona, był nalot szarańczy. W istocie była to klęska straszliwa, ponieważ niezliczone ilości tych niszczycielskich owadów pokryły drzewa i rośliny uprawne, zjadając je doszczętnie. Drzewa i krzewy zostały ogołocone z liści, a pola opustoszały, przedstawiając obraz zupełnego zniszczenia. Ludziom groził głód i nędza.

Szarańcza spokrewniona z naszemi konikami polnemi i świerszczami — muzykantami naszych łąk i pól, żyje w okolicach ciepłych i suchych. Z pomiędzy wielu gatunków jedną z najniebezpieczniejszych to szarańcza wędrowna, której ojczyzną jest Azja środkowa. Często stamtąd zalatuje do południowej i wschodniej Europy, rzadziej natomiast odwiedza Europę środkową, której chłodniejszy klimat mniej sprzyja jej rozwojowi.

Szarańcza wędrowna wielkością i wyglądem przypomina naszego pasikonika. Różni się od niego szczególnie brunatną barwą i odmiennym wyglądem głowy, której groźny i nieubłagany wyraz nadają olbrzymie oczy i silnie rozwinięte szczęki. Na wierzchu głowy znajdują się ponadto trzy małe oczka, które pozwalają szarańczy widzieć dokoła bez obracania głowy, nieruchomo zrastającej się z tułowiem.

Gdy pomyślne warunki pozwolą obficie rozmnożyć się szarańczy, zbiera się ona w gromady o niewiarygodnej wprost ilości osobników i rozpoczyna wędrówkę w poszukiwaniu pożywienia, siejąc zniszczenie wszędzie, gdzie się zatrzyma. Drzewa i pola świecą pustką, zgłodniałe i żarłoczne owady nie pozostawią ani jednego listka, ani źdźebełka trawy z wyjątkiem niektórych tylko trujących roślin. Z płonów, nadziei swej pracy, nic już rolnik nie zbierze. Wszystkie zasiewy zostały stracone. Najpiękniejsza i najbujniejsza roślinność w przeciągu krótkiego czasu znikła z powierzchni ziemi.

Nie dość na tem. Padłe szarańcze ulegając rozkładowi, zatruwają powietrze i stają się niekiedy przyczyną chorób. Jak notują kroniki, z końcem wieku VI-ego gnijące ciała szarańczy miały spowodować we Włoszech śmierć 300.000 ludzi, zamieszkałych w Wenecji i okolicy. O jeszcze większej ilości ofiar w północnej Afryce wspomina św. Augustyn.

Wiatry ułatwiają szarańczy wędrówkę. Zwykle też leci ona w ich kierunku i w ten sposób może przebywać i łatwiej i szybciej znaczne przestrzenie. Niby olbrzymia czarna chmura, która zasłania słońce, leci szarańcza i słychać tylko głośny szelest skrzydeł, który według opisu świadków przypominać ma zgrzyt piasku po szkle.

Żaden opis jednak nie jest wstanie oddać groźnej rzeczywistości, jaką przedstawia ciągnąca chmura szarańczy. Trzeba zjawisko to widzieć.

Mieszkańcy miast w Polsce mogą obecnie to niezwykle ciekawe zjawisko śledzić na srebrnym ekranie w filmie „Ziemia błogosławiona", przedstawiającym epos Wielkich Chin. W filmie tym udało się w wspaniały sposób uchwycić na taśmę celuloidową nalot szarańczy.

Oto na widnokręgu ukazuje się mała, ciemna chmurka, pozornie niczem nie różniąca się od zwykłego obłoku. Zbliża się ona niezmiernie szybko, rosnąc niemal w oczach i zajmując coraz to większą część przestworzy. Robi się szaro. I nagle dziwne obłoki, drgające życiem, zaczynają sypać na ziemię tysiącami i setkami tysięcy owadów, które ruchliwą warstwą pokrywają wszystko, co rośnie na powierzchni. A oto znowu pędzi następna chmura szarańczy i na ziemię spada nieustanny deszcz owadów, które dalszą warstwą pokrywają swoich towarzyszy. Piękny łan pszeniczny ugina się pod zwiększającym się stale ciężarem opadającej szarańczy. Wreszcie niknie zupełnie pod szarą masą niebezpiecznych szkodników. Każdy kłos i każde źdźbło pokryte jest żarłocznymi owadami, które obgryzając silnemi szczękami ziarna, niszczą doszczętnie pracę człowieka.

Szarańcza wędrowna jest częstym gościem przedewszystkiem w krajach ciepłych, niekiedy jednak zjawia się i w sferach umiarkowanych. Najczęstszemi obszarami pojawiania się szarańczy są: środkowa Azja od Oceanu Spokojnego do Morza Kaspijskiego, pd. zachodnia Azja od Indyj do Morza Śródziemnego, większość obszaru Arabji, płn. Afryka i płd. pas Europy, płd. Afryka z Madagaskarem, płn. część Australji, południowa i środkowa część Ameryki południowej, Ameryka środkowa i prawie cała południowa część Ameryki północnej.

Szarańcza wędrowna, która stanowiła prawdziwą klęskę w krajach gorących, zagrażała nieraz i obszarom europejskim, po-



Szarańcza wędrowna.



Szarańcza południowo-afrykańska.



W kole: Szarańcza niszcząca zboże (zdjęcie z filmu „Ziemia błogosławiona").

Poniżej: Sztych z połowy XIX w., przedstawiający nalot szarańczy w Mołdawji.



łożonym zwłaszcza w pasie śródziemnomorskim, jak i we wschodnim obszarze, a przedewszystkiem Besarabji, Mołdawji i Wołoszczyźnie. Niekiedy była ona także gościem na ziemiach Polski.

Jedną z pierwszych wiadomości podaje Długosz, notując nalot szarańczy na ziemie ruskie w r. 1084. W r. 1334 przypędzona przez suchy, wschodni wiatr szarańcza, spustoszyła ziemie Polski, a także Czechy i Austrję. Miała ona lecieć, jak podaje kronika Bielskiego, w tak olbrzymiej ilości, że przesłaniała słońce, a gdy opadła na ziemię, pokrywała kopyta końskie. Podobnie wielkie straty poniosła Ruś i Podole w roku 1536. Również w wieku 17-tym i 18-tym kilkakrotnie pojawiały się te szkodliwe owady. W roku 1690 obserwowano ich przelot i we Lwowie.

Słynne było pojawienie się szarańczy w płd. Rosji w r. 1879. Zjawiła się ona w tak wielkiej ilości, że nie tylko pokryła sobą ulice i wszystkie przejścia, ale także wdzierała się do mieszkań ludzkich. W zbiornikach wodnych było jej tak wiele, że wodę do picia musiano specjalnie oczyszczać. Stepy nad Donem przedstawiały opłakany widok. Trawa zniknęła jakby wypalona ogniem.

miljony funtów, zwłaszcza w obszarze wschodniej Afryki. Nic też dziwnego, że w specjalnych stacjach rolniczo-entomologicznych interesują się biologją tego groźnego owada, ponieważ dokładna znajomość jego życia pozwala na rozpoczęcie skutecznej z nim walki.

Prowadzi się ją na różne sposoby. Na pola, gdzie złożone zostały jajka, puszcza się stada bydła, lub też wyoruje się ziemię, albo przeoruje, aby jajka zabić i nie dopuścić do ich rozwoju. Dawniej, gdy nieszczęśliwi mieszkańcy, dotknięci plagą szarańczy, spostrzegli nadciągającą jej chmurę, bili w dzwony, strzelali z broni palnej, aby odstraszyć tych skrzydlatych nieprzyjaciół. Gdy ten rodzaj obrony zawiódł, kopano rowy i doły, zgarniając w nie szarańczę, która ginęła w płomieniach palącej się słomy, przysypana nakoniec ziemią. Gdzieniegdzie na pola, pokryte szarańczą, puszcza się drób, który chętni zjada tłuste owady.

Prócz sposobów używanych od najdawniejszych czasów, a polegających na paleniu szarańczy i mechanicznem jej niszczeniu, stosuje się obecnie środki bardziej nowoczesne. Dla powstrzymania nalotu szarańczy poświęca się niekiedy pewne obszary, zlewając je naftą czy benzyną i następnie podpalając. Ponieważ szarańcza przelatuje niezbyt wysoko, taka sztucznie stworzona na pewnej przestrzeni ściana ognia skutecznie powstrzymuje jej nalot, zwracając ją w innym kierunku. Dla niszczenia opadłej szarańczy używa się niekiedy miotaczy ognia, podobny do stosowanych w czasie Wielkiej Wojny. W ostatnich czasach podjęte zostały próby zwalczania szarańczy z pomocą gazów, wypuszczonych z aeroplanów, podobnie, jak zwalcza się klęskę sówki choinówki w naszych lasach.

Nie tylko uskrzydlona szarańcza grozi wszelkim zasiewom, ale także szarańcza piesza, zwana także „piechotą", to jest szarańcza młodociana, która nie uległa jeszcze ostatecznemu przeobrażeniu w owada doskonałego. Młoda ta szarańcza od dorosłych owadów różni się tylko wielkością i brakiem skrzydeł, a w żarłoczności bynajmniej jej nie ustępuje. Trudno ją w jej pochodzie powstrzymać.

Zwalnia się tempo tego zbiorowego marszu tylko w okresie linienia, tj. wtenczas, gdy larwy zrzucają skórkę. Są one osłabione i nie mogą nadążyć silniejszym swym towarzyszkom. Uchwyciwszy się jakiejś gałązki lub trawy zatrzymuje się szarańcza, czyniąc jakgdyby bolesne usiłowana wydobycia się z ciasnej wierzchniej powłoki, która wreszcie pęka wzdłuż grzbietu i na głowie. Przez otwór wydobywa się tułów, a następnie skrzydła, zwinięte dotychczas spiralnie, wreszcie ukazują się nogi i odwłok. Ponieważ linienie nie u wszystkich osobników odbywa się jednocześnie, przeto szeregi wędrujące przerzedzają się nieco, aby się znowu wyrównać, gdy minie osłabiający okres zrzucania skórki.

Na maszerującą piechotę można zastawiać pułapki. Jeżeli pierwsze szeregi uda się skierować w wykopane rowy, wtenczas wszystkie inne posuwają się za niemi i giną w jamach, które znajdują się na końcach rowów. W niszczeniu tych owadów musi brać udział wielka ilość ludzi, którzy owady te naganiają do przygotowanej zasadzki. O ile nie dziwi nikogo polowanie z nagonką

Dokończenie na str. 20-tej

Poniżej: Walka z szarańczą odbywa się za pomocą rozpalonych ognisk i cepów (zdjęcie z filmu „Ziemia błogosławiona")





Chmura szarańczy opadła na łany zboża (zdjęcie z filmu „Ziemia błogosławiona").

W bieżącym roku ukazały się w prasie codziennej notatki o pojawieniu się tego niepożądanego przybysza na granicy południowo-wschodniej. Na szczęście ilość jego nie była wielka. Przypuszczalnie były to najdalsze forpoczty większych mas, które zapewne wyrządziły znaczne szkody w zasiewach poza granicami naszego państwa.

W 19-tym wieku olbrzymie spustoszenie poczynił nalot szarańczy marokańskiej w Algierze. Przez doszczętne zniszczenie zasiewów powstał głód, który pociągnął za sobą wiele ofiar w ludziach. Nic dziwnego, że Arabowie uważali nalot szarańczy za karę Bożą. Rząd francuski wydelegował wówczas specjalną komisję dla zwalczenia tej dotkliwej plagi.

W czasie Wielkiej Wojny, w latach 1914—16 szarańcza pustynna nawiedziła cały obszar północnej i wschodniej Afryki, przenosząc się na wschód i docierając aż do Indyj. Podobny nalot szarańczy wydarzył się również w r. 1926, wyrządzając szkody, obliczane na



Kulisi kopią fosę, która ma powstrzymać napór szarańczy (zdjęcie z filmu „Ziemia błogosławiona")

DROGA DLA „CEPRÓW"...



Powyżej: Dochodząc do Mnicha, widzimy po raz ostatni kotlinę Morskiego Oka...



Nowa droga wiedzie nas … tronę Mnicha i Cubryny...



Powyżej: W drodze na Szpiglasową podziwiamy Rysy spowite mgłą jesienną...

WSZYSTKIE ZDJĘCIA FOT.: D… WIECZOREK – ZAKOPANE

Każdy, kto pod koniec lata miał możność być w Morskiem Oku, musiał zauważyć na stokach Miedzianego nową drogę turystyczną, idącą w kierunku doliny za Mnichem. Jest to wśród dotychczasowych ścieżek i perci tatrzańskich droga niezwykła : widzi się ją już zdaleka, jak się pnie w kierunku Mnicha mocną, równą linją o jednostajnem wzniesieniu. aby następnie wielkiem kołem wznieść się do starego pasterskiego szałasu, znanego wszystkim bywalcom szlaku na Wrota Chałubińskiego i na przełęcz Szpiglasową.

W gorących promieniach jesiennego słońca pracuje nad tą drogą gorączkowo dziesiątki robotników. aby przed nastaniem zimy wykończyć odcinek Morskie Oko—Szpiglasowa, będący częścią magistrali turystycznej Kasprowy—Morskie Oko. Praca idzie od strony Szpiglasowej i Morskiego jednocześnie. Uwija się przy tej robocie wielu górali, budujących z humorem szkarpy, gdzie potrzeba, układających na płasko głazy granitowe. albo ubijających na gładko ścieżkę darnią, mchem i żwirem.



Droga zbliża się do masywu Mięguszowieckiego...

Bo to będzie droga niecodzienna. Przedewszystkiem dość szeroka, gładka, jak stół, nie zabardzo pnąca się pod górę, choć miejscami dość przepaścista. Każdy „patałach" będzie tam mógł przejść na swoich dwóch nogach, nawet w meloniku, długich spodniach i twardym półkoszulku, a dobry motocyklista, jak się uprze, to i wyjedzie na Szpiglasową, albo może i dalej... Wogóle wymarzone miejsce dla przyszłych raidów terenowych. Już widzę takiego zawadjakę, sfotografowanego z wieńcem na szyi, przy motocyklu na Szpiglasowej! Będą tam nawet mogli chodzić tacy, którym nietylko kobieta, nietylko wino, ale i przepaść może zawrócić w głowie Tych ostrzegam, bo barjerek tam nie będzie. A zresztą, poco akurat patrzeć w przepaść? — Mając gładką drogę pod stopami, można iść na czterech łapkach i podziwiać piękne widoki.



Poniżej: Na prog… liny za Mnichem...



Tatry Wysokie widziane z pod przełęczy Szpiglasowej...

Otóż to! Odcinek Morskie Oko—Szpiglasowa jest wybitnie atrakcyjny pod względem widokowym. Widok na Morskie Oko, Czarny Staw i całe górskie otoczenie tych jezior jest nieporównany i osiąga szczyt piękności na progu doliny za Mnichem, skąd imponująco przedstawiają się Rysy.

Droga niezawsze idzie w terenie zupełnie łatwym. Pod samą przełęczą Szpiglasową wkuwają się górale trawersem w silnie eksponowaną skalną ścianę, która jeszcze pod koniec września mogła dawać wcale niezgorszą emocję spinaczki nad przepaścią. Szło się tam wpoprzek pionowej prawie ścianki wąską rysą, znaczącą trasę drogi, wystarczającą na oparcie końca butów. Chwyty dla rąk jeszcze skąpsze. Przepaść wcale, wcale... nie byłoby co zbierać. I tak ze trzydzieści metrów. A pracujący robotnicy tak się z tem oswoili, że chodzą tam, jak po Krupówkach. Pocieszają się tem, że gdy na wiosnę zaczną się przebijać od Szpiglasowej przez Liptowskie Mury, będzie jeszcze gorzej.

Ale humor jest! Jesienna pogoda dopisuje i gra na stokach Miedzianego wszystkiemi barwami tatrzańskiej jesieni. Wyżej na Szpiglasowej wre praca, której tempo świadczy o zbliżającej się szybko zimie. Długie, mocne cienie Liptowskich Murów kładą się na dolinę Pięciu Stawów, widzianą z wysoka. Naprzeciw pławią się w słońcu szczyty Orlej Perci, Świnicy, hen daleko Czerwone Wierchy i Tatry Zachodnie...

A ty, ceprze jeden, który za rok będziesz szedł nową drogą i będziesz się dziwował jej gładkości i łatwości, pamiętaj, że to nie było wcale tak łatwe. A może i czasem ludzie narażali życie, abyś mógł wygodnie i bezpiecznie po Tatrach pospacerować.

Dr Antoni Wieczorek.

CZARY - NIE CZARY...



Rycina A 1.



Rycina A 2.



Rycina A 3.

„Nie święci garnki lepią" mówi przysłowie i nie trzeba być koniecznie jasnowidzem czy indyjskim fakirem, aby olśniewać publiczność czytaniem cudzych myśli lub czarodziejskiemi sztukami.

Któż z nas nie widział występów odgadywaczy myśli, którzy zbierali od widzów karteczki z wypisanemi pytaniami, wrzucali je do cylindra lub jakiegoś puharu, poczem zupełnie trafnie odpowiadali na nie pokolei? Mimo efektownych pozorów, jest to sztuka tak prosta, że każdy z czytelników może — bez większych przygotowań — popisywać się nią w kole swych znajomych.

Trzeba tylko zrobić trochę nastroju i przygotować sobie metalowe naczynie z zapalonym płomykiem spirytusowym. Po odebraniu od widzów karteczek z wypisanemi pytaniami, wrzucamy je do płomienia, czekając aż spalą się na popiół. I wtedy, wśród ogólnego napięcia, zaczynamy zwolna i tajemniczo odczytywać odpowiedzi na spalone pytania, z ognia i z dymu...

Jak się to robi? Poprostu w drugiej ręce ma się drugi, identyczny złożony papierek, oczywiście pusty i ten właśnie wrzuca się do ognia, a kiedy cała uwaga widzów skupiona jest na palącej się karteczce, należy drugą z wypisanem pytaniem zręczni otworzyć i przeczytać. Wtedy już o odpowiedź nietrudno.

Inny trik z odgadywaniem myśli, jest już nieco trudniejszy. Polega on na tem, że dwie takie same koperty listowe zlepia się dokładnie gładkiemi brzegami tak, że powstaje koperta o dwóch otworach. Do jednego z nich wkładamy uprzednio złożony czysty papier, drugi identyczny dajemy komuś z widzów, który wypisuje na nim swe pytanie, poczem sam wkłada go do przedstawionej mu przez „jasnowidza" koperty.

Na zdjęciu Nr. A 1, na którem widzimy też odbicie w lustrze owej koperty, pokazane jest, jak należy ją trzymać, aby tajemnica się nie wykryła. Dla tem silniejszego efektu należy oznajmić, że kopertę się zalakuje, przyczem pokazuje się widowni tę stronę koperty, do której wsunęło się uprzednio pusty papier. W ciągu lakowania koperty, należy — jak widzimy na zdjęciu A 2, trzymać kopertę w ten sposób, aby za osłoną jej klapy wyjąć niepostrzeżenie karteczkę z pytaniem.

Zdjęcie A 3 pokazuje najlepszy sposób odczytania karteczki, trzymanej we wgłębieniu dłoni, podczas kiedy zalepioną kopertę pokazuje się drugą stroną publiczności. Sztuka ta jest zupełnie łatwa do wykonania. Należy tylko zachować pewną odległość od widzów i w czasie momentów „krytycznych" wymownie zagadywać swych widzów.

Jest jeszcze jeden sposób odgadywania pytań, ale wymaga on już wspólnika wśród publiczności, z którym przed rozpoczęciem seansu, trzeba umówić pytanie, jakie nam zada. Wtedy prosimy widzów o wypisanie na podanych przez nas karteczkach rozmaitych pytań, poczem odbieramy złożone karteczki i przystępujemy do odpowiedzi. — Wśród karteczek tych, znajduje się również karteczka wspólnika, z zgóry umówionem pytaniem. Nie mieszając jej (patrz zdjęcie B. 1) z innemi, od niej zaczynamy nasze „odgadywanie". Po udzieleniu tej pierwszej odpowiedzi na zgóry nam wiadome pytanie, niby dla sprawdzenia jej trafności rozwijamy jedną z karteczek. Postępując w dalszym ciągu w ten sposób, zaznajamiamy się w rezultacie z każdem pytaniem, zanim udzielimy nań odpowiedzi. Dla wzmożenia tajemniczego nastroju, przyciskamy złożone karteczki do czoła, jak to widzimy na zdjęciu B 2, zastanawiamy się w skupieniu i udzielamy odpowiedzi wolno, głosem pełnym tajemniczości. Zasadniczą rzeczą przy tej sztuce jest wmówienie publiczności, że rozwija się karteczki tylko dla uzyskania potwierdzenia trafności danej odpowiedzi. Na fot. B 3 widzimy „jasnowidza", udzielającego odpowiedzi na pytania.

Prócz czytania myśli, istnieje szereg sztuk magicznych, cieszących się na scenie stałem powodzeniem, a zupełnie łatwych do amatorskiego wykonania. Jedna z nich polega na wsunięciu metalowego kółka od firanki na patyk, trzymany za oba końce przez kogoś z widzów. Do wykonania tej sztuczki należy się zaopatrzyć w przedmioty, które widzimy na zdjęciu D 1, a więc: w patyk względnie zwyczajną drewnianą łyżkę do gotowania,



Rycina B 1.



Rycina B 2.



Rycina B 3.

dwa jednakie metalowe kółka od firanek i chusteczkę do nosa.

Prosimy panią domu o takie kółko, mając drugie identyczne w zapasie. Wzywamy kogoś z widzów, aby trzymał oba końc patyka, uniemożliwiając wsunięcie nań czegokolwiek.

Zdjęcie D 2 wskazuje, że objaśniając coś, trzeba wziąć na chwilę patyk do ręki i nieznacznie wsunąć nań trzymany między wskazującym a środkowym palcem metalowy krążek, uprzednio przygotowany Gdy kółko zostało już wsunięte, dajemy drugiej osobie patyk do trzymania za oba końce, nie puszczając go jednak, aby ręką ukryć wsunięte kółko. Wtedy bierze się chustkę, pokazując

Rycina D 1.

Rycina D 2.

Rycina D 3.

Rycina D 4.



Rycina E 1.

na drugiej ręce publiczności drugie kółko, jak to widzimy na zdjęciu D 3. Nakrywamy trzymany dla kontroli za oba końce patyk chustką, publiczność słyszy szmer metalu, dotykającego drzewa, wtedy jak na zdjęciu D 4 zrywamy nagłym ruchem chustkę, zabierając wraz z nią niepotrzebny krążek i ukazujemy oczom widzów drugie kółko, nasunięte „czarodziejsko" na patyk.

Do sztuczek często na scenach pokazywanych, należy tajemnicze znikanie przedmiotów. Nie jest to wcale takim „meisterstückiem" zręczności, jakby się wydawało i sztukmistrz-amator z łatwością może się tem popisywać.

A więc np.: dajemy oglądać widzom magiczną pałeczkę własnego wyrobu, poczem zawijamy ją starannie w kartkę papieru gazetowego. Widzowie — patrz zdjęcie E 1 — muszą dokładnie widzieć, że pałeczka jest zawinęta w papierze i dla stwierdzenia tego pozwólmy widzom dotknąć zawiniętej pałeczki. Wtedy nagłym ruchem trzeba zmiąć zwisającą resztę kartki gazetowej w kulę i — pałeczka zniknęła bez śladu, aż póki nie „wyczarujemy" jej zpowrotem z naszego rękawa.

Do sztuczki tej trzeba mieć dwie pałeczki o identycznym wyglądzie: jedna jest z patyczka obklejonego papierem, druga z pustej wewnątrz rolki papieru, mająca jedynie końce z drzewa — zdjęcie E 2. Prawdziwą pałeczkę pokazujemy widzom i pozwalamy jej dotykać, drugą zaś mamy w rękawic i tę właśnie zawijamy w kartkę gazetowego papieru. Zamiany tej dokonujemy bez zwrócenia uwagi, licząc się z pewnym momentem psychologicznym widzów i postępując w ten np. sposób: zacząwszy zawijać pałeczkę w gazetę, zatrzymujemy się nagle i mówimy z uśmiechem: „Chcę państwu dać szanse jaknajdokładniejszej kontroli i dlatego pozwolę państwu oglądnąć gazetę, abyście się przekonali, że nie mam w niej ukrytych żadnych przedmiotów pomocniczych. Proszę! państwo oglądną, a potem dopiero zawinę pałeczkę, którą narazie zatrzymam w rękawie. A teraz — skoro ją państwo skontrolowali, złożę ją!" (zdjęcie E 3). Poczem wyjmujemy z rękawa pałeczkę, oczywiście zamienioną i zaczynamy ją dokładnie zawijać w gazetę, zaginając jej końce, aby uniemożliwić wyjęcie z niej pałeczki.



Rycina E 2.



Rycina E 3.



Rycina E 4.



Rycina E 5.

— A teraz, czy są państwo zupełnie pewni, że pałeczka znajduje się w gazecie? — pytamy.

— Oczywiście! — brzmi odpowiedź.

— Otóż nie! Pałeczka w czarodziejski sposób zniknęła... — oznajmiamy z triumfem i zwijamy gazetę (z znajdującą się w środku fałszywą pałeczką papierową) w kłębek i odrzucamy ją na ziemię, podczas gdy ukazujemy zdumionym widzom drugą całą pałeczkę, wyciągniętą z rękawa.

Jak widzimy, być czarodziejem to rzecz wcale nietrudna...

John Redwood.

Dokończenie ze str. 15-ej

na lisa lub zająca, czy inną zwierzynę, o tyle ten sposób zwalczania szarańczy przedstawia niezwykły widok. Są to bowiem jedyne owady, na które urządza się tego rodzaju masowe polowania.

Szarańcza ciągnie w dzień — rano zaś i wieczorem osiada na polach, gdyż rosa i wilgoć utrudnia jej lot. Na sierpień i wrzesień przypada okres godowy szarańczy. Słychać wtenczas głośne, miłosne ćwierkania samców, które wywoływane są pocieraniem zazębionych udek tylnych nóg o żeberka na pokrywach skrzydeł. A gdy umilknie weselna muzyka, samiczki zaczynają składać jajka, umieszczając je kupkami po kilkadziesiąt sztuk w dołkach, wywierconych pokładełkami. Jedna samiczka może ich znieść ponad 200. Zabezpieczone w rurkach, utworzonych przez krzepnącą wydzielinę, w pomyślnych warunkach mogą dać niezliczone ilości osobników. Matka ginie, jajka zaś zimują aż do wiosny, a tylko w południowych, ciepłych okolicach mogą się larwy wcześniej z nich rozwinąć. W okresach zupełnej suszy, gdy roślinność zamiera, opóźnia się wylęg młodych szarańczy z jajek, które mimo to nie tracą siły rozwojowej. Dopiero po okresie suszy, gdy nastaną deszcze, pojawia się szarańcza w olbrzymich ilościach. Gdy w latach 1862/3 straszna posucha w płd Afryce groziła zniszczeniem całego życia, przez dłuższy czas nie można było napotkać żadnego owada. Dopiero gdy spadły deszcze pojawiły się one w niezliczonych masach, w jakich poprzednio nigdzie ich nie zauważono i jako larwy pokryły wielkie przestrzenie kraju.

Wyjątkowo tylko w niektórych okolicach szarańcza stanowi pożywienie tubylczej ludności. Podgrzewa ona szarańczę lekko na ogniu i zjada ją w nieprawdopodobnych ilościach, odrzucając jedynie tylko nogi i skrzydła. Niekiedy tubylcy zjadają ją w całości mimo, że smak szarańczy jest obrzydliwy, a wartość odżywcza minimalna. Podczas nalotu szarańczy rozpalą murzyni wielkie ogniska, odurzając dymem owady, które opadają na ziemię. Zbierają je wtenczas i solą, aby zabezpieczyć je przed psuciem się. W ten sposób mogą je przechowywać przez długi czas. W niektórych okolicach owady te stanowią przez cały rok pożywienie tubylców. Zjadane są one przez niektóre szczepy w Abisynji, a jak podaje Biblja, żywił się niemi w czasie pobytu na pustyni i święty Jan Chrzciciel. **Dr Z. M.**

KONKURS NA NAJLEPSZĄ NOWELĘ

Komunikat Sądu Konkursowego

Sąd Konkursowy na posiedzeniu w dniu 12 bm. postanowił odrzucić następujące prace: **„Nędza robotnika"** (godło: August Stanisław), **„Szklanka mleka"** (Elte), **„Kochany Klaudjusz"** (Dziwożona), **„Opowiadanie, które nie ma początku ani końca"** (Punkt X), **„Pierwsza miłość kierownika Bryły"** (Veritas), **„Omyłka"** (Odrowąż), **„Ojczyzna i miłość"** (R. A. T. S.), **„Niejaki Karol"** (Tramp), **„Dla ciebie"** (Śląsk), **„F. O. N."** (Krystyna), **„Łzy szczęścia"** (Veritas), **„Eksperyment profesora Browna"** (Rakutowa), **„Święcone"** (Próba), **„Czy Henek jest chory"** (40051), **„Pan Hałuszyński"** (A. Ha), **„Czad"** (Górnicy), **„Pan doktór"** (Lis), **„Bez żalu"** (Pęknięta karta), **„Kika"** (Polne ścieżki), **„Dziwna przygoda"** (Ananas), **„Spirydjonowe konie"** (Horyń), **„U kresu"** (Soból i panna).

Na najbliższem posiedzeniu Sąd Konkursowy zajmie się resztą pozostałych nowel, poczem przejdzie do ostatecznego rozpatrzenia nowel wyróżnionych.

Prace Sądu przedłużyły się nieoczekiwanie skutkiem wielkiej liczby nowel nadesłanych na Konkurs, a także skutkiem tego, że członkowie sądu zapoznają się z niemi bardzo szczegółowo i nawet w tych wypadkach, gdy całość utworu nie odpowiada warunkom konkursu, zwracają w swych orzeczeniach uwagę na momenty, świadczące o talencie literackim autorów.

Sąd Konkursowy.

Dokończenie z str. 10-tej

Nie mogąc znieść dłużej tej niepojętej sceny, wysunęła się pani nauczycielka energicznie z za pleców dyrektorskich. Pochylona nad Kacperkiem przemawiała łagodnie, przekonywująco, jak matka do chorego dziecka, choć twarz jej i szyja poczęły zwolna czerwienieć z irytacji.

— No, przeczytajże, Kacperku, czemuż nic nie mówisz?! Nie bój się, dziecko, nikt ci tu nie chce krzywdy zrobić. Pokaż panu dyrektorowi, jak ty ładnie umiesz czytać. Kacperku, no, Kacperku...

A Kacperek milczał wciąż, choć zimny pot operlił mu czoło, żyły wezbrały na skroniach, a oczy coraz szybciej, coraz rozpaczliwiej mrugały z za szkieł.

W klasie zaległa wielka cisza. Nawet panna Brzoska umilkła wkońcu i zniechęcona usunęła się w cień.

— Cóż to się stało, mój Boże — myślała bezradnie — przecież umiał już doskonale czytać...

Wśród ogólnego milczenia zabrał głos pan kierownik, wyciągnąwszy opierającego się lekko chłopca na środek klasy, przed tablicę.

— Chodź-no tu, mój drogi — powiedział łagodnie, ale stanowczo, głosem, jakiego używał zawsze w trudniejszych chwilach — może z tego miejsca będziesz lepiej widział. Co, też nie? Wobec tego spróbujmy jeszcze inaczej — nagłym ruchem zsunął mu szkła z oczów.

Uwolniony od okularów chłopak zamrugał gwałtownie oczami, jakby rozdarła się przed nim nagle zasłona nieprzejrzanych ciemności, przetarł zaczerwienione powieki, spojrzał po swojemu bokiem i wyrecytował jednym tchem:

— Mama, tata, pies, kot.

Efekt tych słów był zupełnie nieoczekiwany. Panna Brzoska zakręciła się w miejscu, jak gdyby nagły cios w piersi pozbawił ją równowagi, dyrektor zatrzepotał prędko rękoma w powietrzu, jak człowiek, który nie może tchu złapać, nauczyciele spoglądali na siebie w milczącem zdumieniu.

— No, no, no, ładne szkła sobie sprawiłeś, niema co i mówić — pokiwał dyrektor głową, podnosząc trzymane w ręku okulary do wysokości oka i przyglądając im się z uwagą.

— Bo też było na co patrzeć. Mój Ty mocny Boże! Zamazane i porysowane szkło wyglądało jak zapocona szyba w chacie chłopskiej w dżdżysty dzień jesienny. I to miały być uzdrawiające szkła dla chorego oka!

— Skąd je, u licha, wytrzasnąłeś!?

Kacperek parokrotnie poruszył wargami, zanim zdołał z nich wydobyć najmniejszy dźwięk głosu. Jakże je nienawidził te szkła, które niby miały mu ulgę przynieść, a zasłoniły resztę światła zprzed oczu a wraz z nimi i tę panią nauczycielkę, co to niby dobrą przed wszystkimi udaje, a djabła ma za skórą. Zamajaczyło przed nim gorzkie wspomnienie doznanych krzywd, guzów, na własnych plecach zbieranych, a wiedział przecie, że nie na tem był koniec nieszczęść.

— Skąd masz te szkła? — powtórzył dyrektor nalegająco

— Od matuli dostałem.. —wymamrotał, zwilżając językiem wyschłe wargi.

— Od matuli.. a matula skąd je wzięła? — indagował dalej kierownik

— Po... po nieboszczce Józefowej odkupiła za dwa złote — wyszeptał lękliwie, odwracając głowę, pewny, że za chwilę czyjaś wielka pięść zamajaczy mu przed oczami, by spaść całym ciężarem na jego pochylone plecy. Tak przecie bywało zawsze w domu, ilekroć zabrzmiało w obecności matki złowrogie słowo: okulary.

Ale tutaj nikt nie myślał o biciu, przynajmniej narazie.

Każdy był zresztą zajęty czem innem

Panna Brzoska z cichym okrzykiem: „Mój Boże", cofnęła się aż pod okno; pan kierownik przygryzał drgające wargi; reszta nauczycieli spoglądała na siebie z jawnym uśmiechem, nie szczędząc złośliwych uwag.

Pierwszy otrząsnął się z wrażenia dyrektor. Rozejrzał się po kolegach, z trudem tłumiących w sobie uśmiech zadowolenia, zkolei przeniósł wzrok na gromadę dzieci, nie rozumiejących nic z tego, co się wkoło nich działo, wreszcie na Kacperka, stojącego wciąż przed tablicą z miną nieszczęśliwą i zrezygnowaną, w oczekiwaniu na cios, który nie przychodził... Skinął ręką na najbliżej stojącego nauczyciela:

— Każ pan czemprędzej dzwonić na pauzę — rozkazał sciszonym głosem — Czas skończyć tę scenę!

Stojąc przy oknie, przeżywała panna Brzoska gorzko swój pierwszy wielki zawód. Zajęta temi myślami, nie odwróciła się wcale podczas przemowy kierownika do dzieci, nie drgnęła nawet na dźwięk dzwonka, który dziwnym zbiegiem wydarzeń, zabrzmiał o piętnaście minut za wcześnie i pierwszy raz w ciągu pracy szkolnej, zapomniała o swych obowiązkach nauczycielskich

Kiedy po wyjściu dzieci kierownik zajrzał do opustoszałej już sali, stała wciąż jeszcze w tem samem miejscu, a bezsilnie opuszczone ramiona drgały dziwnie. Zrobiło mu się jej serdecznie żal. Co też musiała tu przeżyć sama w ciągu ostatnich chwil! Dla tak młodego stworzenia droga od bezgranicznego triumfu do zupełnego zwątpienia w swe siły jest bardzo krótka i łatwa do przebycia. Trzeba ją jakoś podtrzymać, pocieszyć.

Niepostrzeżenie zbliżył się do niej; zajrzał jej poczciwie w twarz. Po pobladłych policzkach płynęły dwie duże łzy, w których zebrała się cała gorycz, cały ból i zawód. Ojcowskim ruchem poklepał ją dobrodusznie po ramieniu

— No, no, głowa do góry, koleżanko — przemówił. — Nic się wielkiego przecież nie stało. Na pociechę powiem pani dobrą nowinę. Postanowiłem, że szkoła na własny koszt sprawi Kacperkowi porządne okulary. Niech pani obetrze łzy, panno Marjo. Szkoda pani oczów. A na przyszłość proszę pamiętać o mojej przestrodze: Wieś, to nie miasto. Trzeba być zawsze przygotowanym na niespodzianki. Wtedy wszystko idzie dobrze!!!

—o—

WYSOKA FALA
Torpedowiec „Iltis" na Morzu Północnem.



Z TEKI MUZYCZNEJ „ASA"

NIE MÓW NIC O TEM...

PIEŚŃ

SŁOWA: ST. STWORA

MUZYKA: ST. MIKUSZEWSKI

Andante.

Nie mów nic o tem co by-ło
o-snu-te zło-tem Nie mów nic o tem.
By- łaś mi baj- ką w zło- te po- łu- dnie, tę-
skno- tą, co gwiazdy pró-szy na kan-wę zło- tą i w kwiat zakwita w mej
du-szy. Nie mów nic o tem, co by- ło
o-snu-te zło-tem. Nie mów nic o tem!

PODJAZD

ROMAN BACH-ŻELEWSKI

SZKIC HISTORYCZNY

Ława głośno skrzypnęła pod ciężarem ogromnego ciała króla Jana III-ego. Otarł czoło z potu i oddychając z wysiłkiem, ulegle poddawał się zabiegom pokojowców otrzepujących jego żupan z kurzu.

— Siadajcie Wasze Wysokości — zwrócił się do Karola, księcia Lotaryńskiego i elektorów saskiego i bawarskiego, wodzów połączonych wojsk austrjackich i niemieckich. — Siadajcie i wybaczcie, że nie krępuję się Wami, ale srodze jestem utrudzon drogą. Szliśmy bardzo pośpiesznym marszem, by zdążyć tu jak najrychlej.

Książęta siedzieli niespokojni i jakby skonfundowani. Znać było z wyrazu ich twarzy, że chcieliby coś rzec, lecz boją się urazić monarchę sprzymierzonego mocarstwa. Wreszcie książę Lotaryński pogładziwszy czarną perukę, opadającą mu w pięknie ułożonych falach na ramiona, rzekł:

— Wybacznie Najjaśniejszy Panie, ale choć jako raczyliście powiedzieć, pośpieszaliście bardzo, to jednak późno przybywacie, a i wojska mniej niż przyrzeczonych czterdzieści tysięcy, jeśli moje oczy się nie mylą, przywiedliście.

— Masz Wasza Książęca Mość słuszność. I opóźniłem przybycie i wojska mniej jest ze mną, to tylko koronne w sile około trzydziestu tysięcy szabel. Litwa bwiem, na którą oczekiwałem, nie stawiła się w naznaczonym czasie. — Oblicze królewskie przy tych słowach zachmurzyło się i przebiegł je jakby rumieniec wstydu.

— Ależ to wprost fatalne! — wykrzyknął książę. — Tu każdy pojedynczy żołnierz jest niesłychanie cenny! Hostes w liczbie dwustu, lub jak prawią inni, trzystu tysięcy przedniego wojska leżą pod murami Wiednia, a my mamy tu złączonych wojsk austrjackich i niemieckich czterdzieści sześć tysięcy, co czyni wraz z polskiemi Waszej Królewskiej Mości, wszystkiego siedemdziesiąt kilka tysięcy ludzi, a więc wiele, wiele za mało! Tymczasem hrabia Rydyger Stahremberg ostatkiem sił przeciwstawia się potędze Wielkiego Wezyra, od nas jedynie wyglądając zbawienia. A jego upadek jest równoczesnie upadkiem całej Austrji, chrześcijańskiej Austrji!

— Mości Książę! — rzekł chmurnie król. — Wiesz równie dobrze jak ja, że w orężnej sprawie większy walor ma duch niż liczba. A nie wątpisz chyba, że nasze wojska z wolnych ludzi się składające, z innym animuszem pójdą do boju niż hordy niewolników? A pomnij Wasza Miłość na błogosławieństwo Ojca Świętego, jako widomy znak auxilii Bożej. Co się zaś Litwy tyczy, to tych dziesięć tysięcy ludzi, nie wyrównałoby jeszcze liczebnej różnicy. Zresztą zostawiłem im instrukcje i spero, że idąc pośpiesznym marszem, na czas przyjdą.

Lotaryńczyk milczał chwilę, patrząc nieruchomo przed siebie, wreszcie rzekł ze smutkiem w głosie:

— Niestety Najjaśniejszy Panie, duch w naszem wojsku nie jest nadzwyczajny. Przyczyną tego jest właśnie poczucie słabości liczebnej wobec potencji tureckiej, o której krążą tu najrozmaitsze słuchy.

— A jakież macie w tej materji wiarogodne wieści?

— Żadnych!

Król uniósł brwi z zadziwienia.

— Wszak wysłaliście chyba, Panie, podjazdy, gwoli zasięgnięcia języka?

— Słaliśmy małe oddziały, lecz ginęły bez śladu, ostatnio więc posłaliśmy kilku doświadczonych oficerów w tysiąc doborowego żołnierza, ale i tych ogarnęli Tatarzy. Na pośmiewisko wypuścili kilku gemajnów, by nam donieśli o klęsce. Zaprzestaliśmy więc, boć szkoda nam ludzi.

— Ależ Wasza Wysokość! Nie wiedząc nic o wrogu, nie możemy iść w sukurs hrabiemu Stahrembergowi, bo i siebie wygubimy i sprawie się nie przysłużymy! Bychowski! — zwrócił się do pokojowca. — Pchnij tam kogo po imć Ruszczyca. Niech mi się tu, nie mieszkając, stawi!

Chodził wielkiemi krokami srodze zaalterowany. Książęta siedzieli w milczeniu, przygnębieni przyznaniem się do własnej i swych ludzi nieudolności wojennej. Król, to biegając po izbie, to znowu przystając, sapał głośno i szarpał wąsa. Przykre milczenie na długo zaległo między nimi. Wejście pokojowca wdarło się w ciężki nastrój ożywczym powiewem.

— Pan Ruszczyc czeka na rozkazy.

— Niech wejdzie! Niech wejdzie!

Do izby wszedł siwiejący na skroniach, acz nie więcej pięćdziesięciu lat mający oficer. Przez opaloną, srogą jego twarz przebiegała blizna od cięcia szablą. Wzrostu niewiele nad średni, lecz silnej budowy, miał postawę żołnierza z krwi i kości. Z przyjemnością patrzyli nań cudzoziemscy wodzowie. Skłonił się z należnym szacunkiem, acz zgoła bez uniżoności i wyprostowany czekał.

— Wasze Wysokości! Nie mogę się nie pochwalić przed Wami tym oto szlachcicem. Wielu mam w wojsku przednich zagończyków, imć pan Ruszczyc chyba z nich jest najprzedniejszy! Imię jego dobrze jest znane Turczynowi, który acz nienawidzi go za srogie gnębienie, to jednak uznaje w nim godnego rycerza. Ale ad rem! Mości Ruszczyc, wezwałem tu waści, by ci zlecić za sięgnięcie języka o inimiciis i to corychlej Weź waszmość stu ludzi...

— Wybacz Najjaśniejszy Panie! — przerwał milczący dotychczas elektor saski. — Toż ten rycerz ze swym oddziałkiem na pewną śmierć idzie! Stu ludzi zaledwie!

Jan III-ci zmarszczył brwi i rzekł z niechęcią:

— Mnie także zależy na każdym żołnierzu, jeśli więc ślę kogoś, to dlatego, że języka mieć musimy, a gdzie o sprawę chodzi, tam bezpieczeństwo jednostek nie może decydować. Zresztą człowiek peritus jak imć Ruszczyc, potrafi siebie i swoich od niebezpieczeństwa salwować. Ergo mości Ruszczyc, weźmiesz jakom rzekł stu ludzi i w dwadzieścia cztery godziny wrócisz mi waść z językiem i to dobrym! Ruszajże więc z Bogiem.

Pan Ruszczyc skłonił się i wyszedł. Wielka szczęśliwość go ogarnęła, raz, że król był nań łaskaw, drugi, że wkrótce zetrze się z wrogiem bez czego żyć nie umiał, i to jako pierwszy z całego wojska. Zaraz za progiem otoczył go gwarny ruch zakładanego obozu. Tu rozbijano namioty, tam konie pędzono do wodopoju, ówdzie rozpalano ognie i sprawiano bydło. Szedł do leża wojsk wojewody ruskiego, przy którym stała jego chorągiew, złożona z samej szlachty kresowej, która w ciągłych walkach wyrobiła się na świetnego żołnierza. Zatrzymali go w przechodzie znajomkowie, panowie Jan i Piotr Odrzywolscy, herbu Nałęcz i Hieronim Suffczyński herbu Szeliga, towarzysze pancerni chorągwi husarskiej królewicza Aleksandra.

— Pono król Jegomość wzywał waszmości do siebie? — pytał pan Piotr. — Możnali wiedzieć, o co chodziło? Nie sekret to chyba?

— Nie sekret, nie — odparł pan Ruszczyc. — Król jeno języka potrzebuje i mnie pońwysyła.

— Tak i ja waszmościom prawiłem — zagrzmiał basem pan Suffczyński — bo jako, że umiem trochę szwargotać, ledwo z konia zlazłszy, interrogavi jakowegoś cesarskiego oficera, co słychać o Turku, a on mi na to, że nie wiedzą nic zgoła, bo co podjazd wyślą, to jak kamień w wodę. Tedy usłyszawszy, że pan Ruszczyc u Króla Jegomości się stawił, zaraz wiedziałem, co się święci. Jeno waszmość spisz się gładko na Boga, żeby te pludraki widziały, że nie im się w wojennem rzemiośle z Polakami mierzyć!

— Postaram się po myśli waszmości sprawić, jako że takież intencje w królewskiem poleceniu wyczułem — uśmiechnął się pan Ruszczyc, poczem, skłoniwszy się, ruszył w dalszą drogę.

Doszedłszy do swej chorągwi, wezwał do siebie imć Szelągowskiego, który mu porucznikował i powiadomiwszy o królewskim ordynansie, społem z nim wyznaczył stu ludzi. Wprawni żołnierze, acz niedawno po uciążliwym marszu z koni zsiedli, wnet sprawili się do drogi i w ordynku ruszyli przez obóz. Wielu miało przytroczone do kulbak arkany, a pan Ruszczyc nawet kołczan i łuk, którego jako jeden z nielicznych już w polskiem wojsku, tatarską modą w boju przednio zażywał. Cesarscy i elektorscy z ciekawością przyglądali się pana Ruszczycowym żołnierzom, tak różnym od zachodnich. Ci pozornie nie widząc tego, z buńczuczną miną jechali, ten i ów wsparłszy się pod bok, czy pociągając marsowego wąsa. A i konie, lżejsze od dragońskich, a rącze i wytrzymałe, jakby rozumiejąc intencje swych panów, odsadzały ogony, dziarsko chrapały i ochoczo wyrzucały głowami, a poniektóry toczył sobą, przysiadał na zadnich nogach i przedniemi przebierał. Wreszcie wyjechali za obóz i ruszyli na południowy-wschód drogą do Wiednia wiodącą. Jechali swobodnie, bo tu żadnego wroga jeszcze oczekiwać nie należało. Popołudniowe słońce przyjemnie grzało pobudzając ptaki wśród liści przydrożnych drzew do radosnego świergotu. Ludzie rozmawiali półpłosem, jeno pan Ruszczyc z natury dziki i odludek, milczał, choć pobok jadący pan Szelągowski chętnieby pogwarzył. Znał jednak swego pułkownika, zdusił więc w sobie ochotę. Po pewnym czasie pan Ruszczyc skinieniem ręki wstrzymał oddział i zleciwszy panu Szelągowskiemu samopiąt ruszyć przodem, zjechał z gościńca w las, zaczynający się tu właśnie po obu stronach drogi. Znać przypuszczał, że Tatarzy chodzący zwykle w przedniej straży tureckiej, sami idąc lasem, będą mieć oko na gościniec, i chciał ich własną ich modą, przez zaskoczenie pognębić. Rozmowy umilkły, jechali gotowi każdej chwili do walki. Czas jednak mijał, słońce powoli chyliło się ku zachodowi, sącząc przez listowie lasu coraz to bardziej krwawe promienie, aż wreszcie zgasło, by ustąpić miejsca blaskom księżyca. W okolicy ciągle ni żywej duszy zoczyć nie można było, widocznie ludność tak przed okrucieństwy pogan, jak i bezwzględnemi rekwizycjami sprzymierzonych uchodząc, głęboko w lasy się zaszyła. Nakoniec, korzystając z dogodnego miejsca, wstrzymał pan Ruszczyc ludzi, by dać im i koniom chwilkę wytchnienia, i siadłszy na uboczu z panem Szelągowskim, rzekł do niego półgłosem:

— Suponuję, że wkrótce natkniemy się na wroga, gdyż Kara Mustafa wiedząc, iż na Łęgu Tulneńskim stoją wojska cesarskie i elektorskie, ani chybi rozesłał silne oddziały, by o każdem ich poruszeniu, a także połączeniu się z nami być powiadomionym, dowodem czego niknięcie wszystkich pod-

jazdów Lotaryńczyka. A że ciężkie wojska tegoż, niezdatne są do szybkiej, podjazdowej walki, idą więc środkiem gościńca, co chytry Tatar wiedząc, po lasach przydrożnych się czai. A wiesz waszmość sam dobrze, że te dzikie czambuły nie wahają się podejść i pod sam obóz, a nie dopiero na taką odległość w jakiej my obecnie odeń jesteśmy, snadnie więc każdej chwili możemy się zetrzeć. Ergo pójdziemy z większą jeszcze ostrożnością. Ja ruszę teraz z waszmością w przedniej straży, a pan Roszkowski ostanie przy oddziele. No, czas w drogę!

Podniósł się i oddział w głębokiej ciszy dosiadł koni. W poświacie księżyca oświetlającej matowym blaskiem mech tłumiący tupot kopyt, drzewa, postacie ludzi i koni, sunęli jak duchy poległych tu ongi rycerzy. Nie zadźwięczała karabela na podciągniętych rapciach, ni głos ludzki się nie odezwał, krótko ściągnięte wodzami konie szły ostrożnie, bez chrapania. Jeno czasem skrzyp kulbaki, lub trzask suchej gałązki złamanej kopytem pozwalały poznać, że to nie mary, lecz ludzie z krwi i kości jadą lasem przydrożnym. Uciążliwa to była droga, boć trzeba się było przemykać w półmroku między dość gęstemi drzewami i krzakami. Pan Ruszczyc jechał przodem, prowadząc swych pięciu towarzyszy. Nagle wstrzymał konia, co wraz uczyniła i reszta. Milcząc wskazał im widniejącą na przeciwległym skraju polanki, do której właśnie dotarli, o dobry rzut kamieniem od nich sylwetkę Tatara. Zwrócony w kierunku gościńca, który znać mógł widzieć, choć oni go nie widzieli, drzemał jakby na krępym, włochatym koniku, tatarską modą na karku prawie mu siedząc. Pan Ruszczyc w milczeniu sięgnął po łuk i nałożył nań wydobytą z kołczanu strzałę. Naciągnąwszy cięciwę i krótko mierząc puścił. Brzęknęła dźwięcznie i wraz usłyszeli cichy, coraz cichszy syk pocisku, zakończony tępem uderzeniem. Tatar wzdrygnął się i przez moment zdaóby się mogło, że chybiony nadsłuchuje, wnet jednak pochylił się w kulbace i grzmotnął sobą o ziemię. Wystraszony koń rzucił się w bok ze stulonemi uszyma, lecz ujrzawszy wynurzające się z lasu konie, uspokoił się. Nadciągnął cały oddział i zatrzymał się, a pan Ruszczyc jął wydawać instrukcje.

— Ani chybi w pobliżu obozują Tatarzy i może nam się uda wziąć ich we śnie, coby nam ułatwiło sprawę. Podjedziemy półksiężycem, ogarniając cicho straże, jeśli jeszcze jakoweś będą, ja w centrum, pan Szelągowski na lewem, pan Roszkowski na prawem skrzydle i na moje signum uderzymy z wielkim krzykiem, starając się zamknąć kolisko. Kładę waszmościom na sercu, by i jeden człowiek nam się nie wymknął!

Rozwinęli szyk i jak lis do kojca, milczkiem się skradali, centrum przez polanę, skrzydła lasem. Serca starych zabijaków biły równo i spokojnie, jeno ręce mocno ujmowały głowice szabel, jeno oczy dziko błyskały. Polanka przeszła w wąziutką gardziel, by nagle rozszerzyć się w obszerny jakby majdan. Tu oto leżało kilkaset postaci owiniętych w kożuchy włosem do góry obrócone. Żar przygaszonych kilkunastu ognisk rzucał krwawy blask na najbliżej leżących. Jedno tylko ognisko, w najdalszej części polany, płonęło nikłym płomieniem. Siedziało przy niem kilku koniuchów, pilnując tabunu koni. Cisza i spokój zalegały polanę niczem nie zwiastując niebezpieczeństwa, jakie groźnie zawisło nad śpiącymi.

Nagle dziki wrzask z setki piersi wstrząsnął powietrzem, ściana lasu jakby ożyła, rozległ się trzask druzgotanych krzewów i z ciemności wynurzyła się ława jeźdźców, pędzących ku środkowi co koń wyskoczy. W jednej chwili zalana blaskiem księżyca polana przemieniła się w istne piekło. Przeraźni Tatarzy zerwali się na nogi, nim jednak przetarli zaspane oczy i rozejrzeli się w sytuacji, runął na nich zwarty mur koni i jeźdźców. Przewracani piersiami końskiemi, tratowani kopytami ginęli, ciągle nie wiedząc jeszcze, co się stało. Coraz jakiś jeździec unosił się w strzemionach i w straszliwym zamachu ciął w zbitą gromadę ludzi, a szabla bądź miękko zagłębiała się w ciało, bądź zgrzytała o twardą kość. Z ciżby rozlegał się szczęk broni, ciężki oddech walczących, krzyk i jęki ludzi i przeraźliwy kwik koni. Nad zgiełkiem bitewnym zapanował jednak głos pana Ruszczyca: — „Żywcem brać! Żywcem!" — i rzeź ustała, natomiast ze świstem rozwinęły się arkany, oplatając swemi zwojami, wiążąc, pozbawiając swobody ruchów słabo broniących się Tatarów. Z przewalającego się kłębiska ludzi poczęły się jednak wymykać pojedyncze postacie i niknąć w lesie. Lecz pan Szelągowski, który w samym początku skoczył z kilku ludzi między tatarskie konie i zrąbawszy koniuchów, dzikim wrzaskiem rozpędził je, pozbawiając tem Tatarów ostatniej deski ratunku, jął teraz na zbiegów z pola walki uchodzących polować, jak myśliwy na zwierzynę. Poszedł mu w pomoc pan Ruszczyc i gdy na polanie leżeli już wszyscy skrępowani, a Ruszczycowi ludzie ciężko dysząc wycierali zbroczone krwią szable, z lasu długo jeszcze dochodziły odgłosy pojedynczych strzałów z bandoletów, trzask łamanych gałęzi i dzikie głosy ludzkie.

Księżyc nieczuły na tragedję, która się rozegrała, zawsze jednakim, matowym blaskiem zalewał trawę, drzewa, żywych i martwych.

— — — — — — — — — —

Jan III-ci, który był właśnie wrócił z rannej Mszy św., ciężko oparł się o zwykły tarcicowy stół, na którym znajdował się kartelusz, inkaust i gęsie pióro i patrzył w otwarte okno. Pod pałacem jak w lipcu słońcem, choć był to początek września, obóz wrzał i szumiał życiem. Król jakby nie widział i nie słyszał tego. Ta też i było, ciężkie bo myśli chodziły mu po głowie. Acz statystą nie był, lecz jedynie znamienitym wodzem, widział dobrze, że w Rzeczpospolitej źle się dzieje. Rozwarcholona i rozpolitykowana szlachta nie o dobru kraju, lecz o ochronie oprymowanej zdaniem jej, przez każdoczesnego króla złotej wolności myślała. Stronnictwa francuskie i austrjackie zwalczały się zawzięcie nie bacząc, że nieprzyjaciel ze wszech strn czyha na słabość Rzeczpospolitej. Ot, ostatnim a jakże znamiennym przykładem było kunktatorstwo Litwy, która wbrew wyraźnemu rozkazowi królewskiemu ośmieliła się na czas nie stawić! Szarpnął gniewnie wąsa. Przez nich to musiał wczoraj z rumieńcem wstydu suplikować się jakiemuś tam książątku lotaryńskiemu z opóźnienia i niedostatecznej liczby wojska. I tu też należy szukać przyczyny niepojętej bezczelności tegoż księcia, który ośmielił się żądać dla siebie, jako wodza wojsk cesarskich, naczelnego dowództwa. On, król i dux znamienity, przed którego orężem drży potężna Porta, on miał być podwładnym cesarskiego pachołka! Żachnął się i wstawszy, jął chodzić po izbie. Rzecz prosta obalił ten plan z miejsca, lecz sam fakt, że ktoś śmiał z taką propozycją wystąpić, nie dawał mu spokoju. Żeby ten Ruszczyc przynajmniej należycie wywiązał się z zadania, utarłoby to nosa zarozumiałemu pankowi. Spojrzał na słońce. Za kilka godzin upłynie termin wyznaczony, powinien więc podjazd wnet wrócić. O to, by go hostes ogarnęli, nie obawiał się, zbyt dobrze znał wyjątkową zdolność Ruszczyca do walki podjazdowej, jeno kłopotał się o pozytywny wynik excursionis. Wrócił myślami do poprzedniego tematu. Tak, krom takich Ruszczyców, Pełków i innych kresowych zagończyków, którzy wyrósłszy w kulbace, zawsze z szablą w dłoni, nie znają innego szczęścia jak wojna i leżąc na podobieństwo wiernych psów u granic Rzeczpospolitej, bronią do niej przystępu, krom nich niema na kim się oprzeć. Ale też tacy są użyteczni jeno tempore belli, czasu pokoju potrzeba i innych, którzyby nietylko bronić tego, co jest, lecz umacniać i tworzyć nowe potrafili. A tych obecnie Polsce brak! Ze smutnych rozmyślań wyrwał go tętent konia. Spojrzał w okno i ujrzał nadjeżdżającego galopem oficera dragonów, trzymających dzisiaj straż w obozie. Może jakie wieści o Ruszczycu! — pomyślał. Tętent ustał przed drzwiami i wnet ozwało się pukanie.

— Wejść!

Ukazał się na progu dragon i skłoniwszy się rzekł:

— Najjaśniejszy Panie! Od strony Wiednia ciągnie podjazd pana Ruszczyca. Znać siła jeńców pojmał, bo znaczną kupą jedzie!

— Dobre mi wieści waszmość przynosisz. Wracajże na stanowisko. Hej! Bywaj tam który!

Na ten okrzyk wbiegł pokojowiec.

— Dawajże szablę! Nie, zostaw, sam ją przypaszę, a ty mi biegnij prosić Ichmościów książąt do mnie tu zaraz.

Pokojowiec piorunem wypadł z izby, znać jednak książęta już się zwiedzieli o przybyciu pana Ruszczyca, gdyż nim król szablę przypasał, ukazali się we drzwiach.

— Dobrze, że Wasze Miłoście już są, bo doniesiono mi, że podjazd wraca. Wyjdźmyż na ganek.

Wyszli i istotnie ujrzeli w oddali ciągnącą przez obóz gromadę konnych. Cisnęli się do nich tłumnie Niemcy i Austrjacy, chcąc zobaczyć nieznanego jeszcze a tak groźnego wroga. Jeno panowie szlachta, choć ciekawi pierwszych jeńców, trzymali się zdala, by sprzymierzeni, których za nic mieli, widzieli, że dla nich to nie nowina. Od gromady odłączył się pojedynczy jeździec i rysią ruszył ku królewskiej kwaterze, lecz z pewnej odległości poznawszy króla, osadził bachmata i zeskoczywszy, z gołą głową jął się zbliżać. Był to pan Ruszczyc. Stanąwszy przed obliczem królewskiem, rzekł:

— Sprawiłem się wedle ordynansu, Najjaśniejszy Panie i ogarnąłem godnie okryty, z pięciuset ludzi czambuł tatarski.

— A iluześ waćpan ludzi postradał? — rzekł Jan III-ci, z niepokojem mierząc oczyma zbliżający się oddział.

— Ni jednego Najjaśniejszy Panie. Kilkunastu odniosło vulnera, lecz takie, że i mówić nie warto!

— Bene, mości Ruszczyc, bene! Ale jeśli się nie mylę, niema tu pięciuset jeńców?

— Nie, jeno trochę ponad czterystu, w tem kilku zacnej starszyzny.

— To siła ich uszło waszmości?

Srogie oblicze pana Ruszczyca rozjaśnił na moment uśmiech.

— Nec nuntius cladis, Miłościwy Panie! Kogom nie przywiódł w łykach, ten jest usieczon.

Król, nie rzekłszy ani słowa ,jeno gładząc wąsa, a odymając usta, a sapiąc z wielkiej kontentacji, spojrzał na cudzoziemskich wodzów. Ci stali pobok markotni. Teraz jednak Lotaryńczyk, pochyliwszy się w dwornym ukłonie, rzekł:

— Najjaśniejszy Panie! Wstydby nam było, że ten oto kawaler zdziała to, co próżno się starali nasi najlepsi oficerowie, gdybyśmy nie byli pomni Twych wczorajszych słów, że ten oficer nie jest jakowąś exceptione, lecz wielu masz mu podobnych. Z takiem bowiem wojskiem nie tylko nasze, ale żadne in orbe terrarum równać się nie może!

Jan III-ci, choć widział w tych słowach jeno przesadny komplement, szczęśliwy był, że mógł nienawistnego księcia pognębić. Nie odrzekłszy nic, zwrócił się do pana Ruszczyca.

— Mam do waści, panie pułkowniku, jeszcze jedną prośbę. Jako że i w tem jesteś na podziw peritus, weź starszyznę na spytki i wywiedz się, z jaką siłą stoi Kara Mustafa ante portas Vindobonae, jak są wojska rozłożone, jaki u nich duch i co o nas wiedzą. Gdy skończysz, wnet się staw u mnie. Ludzie tymczasem niech choć trochę odsapną, przyda im się to wielce, bo możliwe, że po radzie nie mieszkając, ruszymy w drogę. A Wy, Książęce Wysokości, zechciejcie za mną na izbę!

PŁASZCZ — KRÓLEM JESIENNEGO SEZONU

Październik, to już jesień nie na żarty. Choć słońce w pogodne południa stara się łudzić nas jeszcze pozorami ciepła, chłód zimnemi palcami strząsa z drzew zdrętwiałe liście, a ranki i wieczory wyiskrza przedsmakiem przymrozków. Trzeba definitywnie odrzucić przejściowe okrycia i lżejsze komplety i sięgnąć już na dobre do futer i ciepłych płaszczów.

Okrycie w tym sezonie stanowi najważniejszy punkt w naszej garderobie. Pomimo, że nosi się dużo kostjumów, jednak moda tegoroczna opowiedziała się wyraźnie za płaszczami, które otoczyła swemi specjalnemi względami. Dawno już nie widzieliśmy takiego wyszukania w kroju, takiej rozmaitości linji, a przedewszystkiem takiego bogactwa przybrań. Lekkomyślna i kapryśna — a więc bardzo kobieca — moda tegoroczna wykazuje w tem nieograniczoną wprost fantazję. Każdy model jest inny, każdy jest improwizacją, niema mowy o jakimś obowiązującym szablonie. Zatarła się granica między płaszczem a futrem: materjał i skórki futrzane kombinuje się śmiało i rozmaicie, dając przewagę to jednemu, to drugiemu z tych elementów. Raz będzie to futrzane bolero na płaszczu z wełnianej materji, innym razem przód płaszcza będzie z sukna, plecy zaś całe z perskich baranków. Z miękkiego, lśniącego sealskinu robi się całe rękawy do czarnych okryć, ulubione zaś w tym sezonie astrachany i brajtszwance tworzą na płaszczach bogate przybrania w postaci podłużnych, od góry do dołu biegnących pasów, plastronów, kamizelek, obszernych kieszeni lub fantazyjnych rewersów. Kołnierze raz są zredukowane do minimum i szczelnie pod szyją zapięte, innym razem krajane kloszowo, bogato futrem obłożone, stają się najważniejszym akcentem w przybraniu płaszcza.

Nowe i ciekawe są też zestawienia kolorów. Miękie wełny w najmodniejszych odcieniach śliwkowych, czerwonego wina, lub zgaszonego fioletu ślicznie harmonizują z złocistym przepychem szlachetnych soboli czy nurków, albo też bratają się dyskretniej z popielatem futerkiem popielic. Jasne kolory popielate i beige podkreśla się ciemniejszem futrem, i naodwrót do płaszczy ciemno-zielonych czy brązowych dobiera się jasne rysie lub kanadyjskie lisy. Wśród futer brązowych naczelne miejsce zajmują bobry, które dzięki nowym sposobom preparowania ich i strzyżenia nabrały niespotykanej miękkości i ślicznie się układają. Jak widzimy o monotonji nie może być mowy!

Lady Like.



Powyżej: Jesienny płaszcz o pięknej linji, poszerzającej się ku dołowi, bogato przybrany lisami.



Na lewo: Popołudniowy płaszcz z czarnego aksamitu, ozdobiony plastronem z czarnego perskiego brajtszwancu.



Na prawo: Płaszcz z jasnej wełny „chiné", przybrany nutrią. Kołnierz sfalowany przechodzi w rodzaj szala zakończonego zarękawkiem.

Wszystkie zdjęcia fot. Georges Saad Paryż.

PORANNA GIMNASTYKA

Z POMOCĄ KTÓREJ MOŻEMY USUNĄĆ BŁĘDY BUDOWY NASZEGO CIAŁA.

Ćwiczenie XXII.

W tej pozycji wyrzucamy nogę z rozmachem wgórę bez zginania jej w kolanie.

Prawdziwą zmorą niektórych kobiet jest ...dolna część pleców. Z latami, zwłaszcza przy złej przemianie materji i wynikających z tego chorobliwych skłonnościach do tycia, okolica ta rozrasta się katastrofalnie. Trzeba jednak zaradzić temu, aby piękna pani nie była narażona na — używanie dwóch krzeseł. Dzisiaj dajemy kilka wskazówek gimnastycznych, jak ćwiczyć ciało, aby uniknąć przykrych następstw siedzącego trybu życia i wrodzonej skłonności do tycia.

Ćwiczenie I: Klękamy na podłodze i wspieramy się na ramionach. Z tej pozycji unosimy się silnie biodrami, podnosząc jedną nogę, którą mocno wyprężamy w tył i podrzucamy w górę. Gdy już udało się nam energicznie naprężyć nogę, opuszczamy się conajmniej 20 razy i podnosimy się, następnie przerzucamy trud ćwiczenia na drugą nogę. Ćwiczenie to skutkuje wówczas dopiero, gdy powtarzamy je codziennie z żelazną energją. Na zakończenie wolno nam położyć się na ziemi i odpocząć.

Ćwiczenie II: Służy ono właściwie do odprężenia ciała po pierwszem ćwiczeniu — Przyjmujemy pozycję jak na rycinie i przeginamy ramiona jak najsilniej w tył ku górze. Kolana uginamy niemal przysiadem, aby wzmocniły się także mięśnie ud. Ćwiczenie to powtarzamy 30 razy, następnie stajemy przed otwartem oknem i robimy kilka wdechów nosem i wydechów ustami.



Przeginamy ramiona jaknajsilniej wtył ku górze...

KĄCIK RADJOWY

O FADINGU

Promieniowanie stacji nadawczej, czyli t. zw. fale eteru, rozchodzą się we wszystkich kierunkach z anteny nadawczej. A więc zarówno wzdłuż powierzchni ziemi, jak i w górę, „w niebo", jeżeli się tak można wyrazić. To promieniowanie zdaje się już być stracone dla odbioru, podobnie, jak światło słoneczne, biegnące w przestrzeń, a nie spotykające po drodze żadnej planety, którąby ogrzało i oświetliło, jest stracone — z praktycznego punktu widzenia. Tak jednak nie jest z promieniowaniem radjowem. Biegnąc wzdłuż powierzchni ziemi, słabnie ono w miarę oddalenia od stacji nadawczej, aż wreszcie zupełnie zanika. Odbiór stacji w tej miejscowości, gdzie promieniowanie przyziemne już nie dochodzi, jest niemożliwy, nawet najsilniejszym aparatem odbiorczym, ale promieniowanie, idące w różnych kierunkach w górę, napotyka na wysokości kilkudziesięciu kilometrów nad ziemią na warstwę naelektryzowanych dodatnio, t. j. zjonizowanych gazów, która unosi się na kształt chmur niewidzialnych ponad ziemią, kołysząc się, podnosząc w górę około 150 km w nocy, a opadając do wysokości 50 km w dzień, pod wpływem światła słonecznego.

Z promieniowaniem radjowem, następuje pod wpływem tej warstwy zjawisko, któreby można upodobnić do wracających na ziemię kropel wody, wyrzucanych przez fontannę. Na pewnej wysokości strumień wody załamuje się, jakby napotkał niewidzialną przeszkodę i powraca na powierzchnię ziemi. Różnica polega tu na tem jedynie, że promieniowanie radjowe odbija się od owej warstwy gazów zjonizowanych, pod tym samym kątem, pod którym na nie pada, podobnie, jak światło odbija się od lustra pod kątem równym dokładnie kątowi padania. Zależnie od wysokości warstwy, zwanej sferą Heaviside'a (od nazwiska uczonego, który ją odkrył) — promieniowanie powraca teraz na powierzchnię ziemi, padając na nią bliżej, lub dalej od miejsca, gdzie skończył się już zasięg przyziemny danej rozgłośni.

W ten sposób w miarę oddalania się od stacji nadawczej, możemy odbierać coraz słabiej jej audycje, potem jest strefa, zwana „martwą", w której odbioru niema zupełnie — i wreszcie następuje nieograniczony zupełnie bo przypadkowy teren, na który pada promieniowanie odbite od warstwy Heaviside'a.

Zarówno strefa martwa, jak i strefa promieniowania odbitego, zmienią swe wymiary i kształt w każdej niemal godzinie dnia. Kołysanie się warstwy Heaviside'a powoduje t. zw. zaniki, zwane też z angielska „fadingami", podnoszenie się warstwy po zachodzie słońca powiększa kąt padania promieniowania, dzięki czemu zwiększa się zasięg promieniowania odbitego, czyli, jak to obserwują wszyscy posiadacze odbiorników lampowych — wieczorem odbiór jest lepszy niż w dzień. W zimie warstwa Heaviside'a również unosi się wyżej, dzięk czemu odbiór zimowy lepszy jest od letniego. Dodajmy pozatem, że odbiór ten również prawie jest wolny od zwykłych w lecie wyładowań elektrycznych, a będziemy mieli pełne wyjaśnienie wielu zjawisk odbioru.

Im fala, którą odbieramy jest krótsza, tem promieniowanie górne jest silniejsze, a zasięg przyziemny mniejszy. Stacje krótkofalowe mają przyziemny minimalny, nie przekraczający kilku kilometrów — a zato odbicia niezmiernie silne. Fakt, że w Warszawie odbieramy np. Tokio, nadające na fali około 28 metrów nie dowodzi bynajmniej, żeby np. stacja ta była odbierana znacznie bliżej Tokio, np. we Wschodniej Syberji. Poprostu fala pobiegła w górę, odbiła się może nawet kilkakrotnie od warstwy Heaviside'a i powróciła na ziemię w olbrzymiej odległości. Fale t. zw. średnie, od 200 do 600 metrów, mają już zasięgi przyziemne większe, ale promieniowanie odbite również b. silne. Dlatego to stacja Warszawa II była słyszana np. w Kalifornji, ale trudno ją odebrać np. na Bukowinie. To też Polskie Radjo, nie chcąc wprowadzać w błąd swych słuchaczy informuje ich o zasięgu przyziemnym, który jest pewny. Zasięg zaś odbity, jako do pewnego stopnia przypadkowy, nie dający się z góry określić ściśle, pozostawia szczęśliwemu trafowi.

Fale długie, na których pracuje u nas rozgłośnia w Raszynie, t. zw. Warszawa I-sza mają zasięg przyziemny bardzo duży, a promieniowanie odbite słabe. Stąd przyziemny wielki zasięg Raszyna, stąd brak zupełny strefy martwej, a nawet dokoła stacji znajduje się w pewnych porach roku pas, na który padają zarówno fale odbite, jak i promieniowanie przyziemne. Zjawisko to bardzo przykre dla odbioru, objawia się silnem zniekształceniem, przypominającem śpiew przez bibułkę, lub przez ręcznik, jak to trafnie i dowcipnie określił pewien słuchacz radja.

Przyczyną tego zjawiska jest fakt, że ta sama fala przybywa do anteny odbiorczej dwiema drogami, jedną wzdłuż powierzchni ziemi, drugą zaś dłuższą, ponad chmurami, do wysokości 150 km i z powrotem. Rzecz prosta, że przy odległości 300 km od stacji, spóźnienie tej drugiej fali wynosi już 1/1000 sekundy, co stanowi pewnego rodzaju „zez" dźwiękowy, bardzo nieprzyjemny, na który jednak niema rady. Na szczęście zjawisko to nie trwa długo, kilka dni zaledwie, przesuwa się ono bowiem z wiosną poza granice Polski, aby powrócić w jesieni, również na krótko.

Tytuł charakteryzuje materjał ilustracyjny tej strony „Asa", a ilustracje wskazują, jaki jest związek pomiędzy szkicem artysty, plastyka scenicznego, a sceniczną realizacją jego pomysłów. Mamy przed sobą reprodukcje prac Mieczysława Różańskiego do baśniowego dramatu Stanisława Wyspiańskiego „Legenda". W oprawie malarsko-kostjumowej wspomnianego artysty wystawił dramat Wyspiańskiego lwowski Teatr Wielki na inaugurację nowego sezonu pod dyrekcją Warneckiego.





Projekt M. Różańskiego dekoracji do I i II aktu „Legendy" i jego sceniczna realizacja.

Zestawienie szkiców dekoracyjnych z ich sceniczną realizacją jest celowe, bo najwymowniej charakteryzuje jak nawskróś teatralnemi, liczącemi się w koncepcji całości i w każdym szczególe z wymaganiami sceny, są prace dekoracyjne Różańskiego. Pomysły i projekty artysty nie straciły nic na materjalnej i kilkuwymiarowej realizacji, bo zrodziły się z myślą właśnie o niej. A nie wszyscy inscenizatorzy plastyczni są w podobnie szczęśliwej sytuacji. Nowy talent polskiej scenografji, Władysław Daszewski, dający niejednokrotnie kapitalne projekty i szkice oprawy dekoracyjnej teatralnych widowisk, traci na ich technicznej realizacji. Scena bowiem banalizuje jego pomysły i zaledwie częściowo oddaje ich finezję. Podobnie rzecz dzieje się z projektami i innych najwybitniejszych scenografów; nie wolne były od tych niespodzianek prace Drabika, nie wolne są i Frycza, żeby tylko wspomnieć najznakomitszych po Wyspiańskim. Różańskiemu zdarza się to rzadko, i w tem też tkwi tajemnica walorów teatralnych jego koncepcyj. Myśli kategorjami teatralnemi i tworzy dla teatru.





Szkic dekoracji M. Różańskiego do III aktu „Legendy" i jego sceniczne rozwiązanie.

SZKIC i REALIZACJA

Różański, b. inscenizator plastyczny w krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego, zasłynął przedewszystkiem malarsko-kostjumowemi realizacjami „Achilleis" Wyspiańskiego, „Królowej Przedmieścia" Krumłowskiego i „Krakowiaków i górali" (prawdę powiedziawszy:) Z. Nowakowskiego. Po kilku latach przerwy w pracy dla teatru, Różański objął stanowisko dekoratora w miejskich teatrach lwowskich, dając na inaugurację wspaniałą oprawę „Legendy" Wyspiańskiego (w układzie 3-aktowym Szletyńskiego).

Dekoracje Różańskiego są najściślej zespolone z utworem, bo z jego treści i idei wysnute. Różański nie naśladuje niewolniczo Wyspiańskiego, ale czerpie soki z jego genjalnej twórczości. „Legenda" jest pieśnią poety zespolonego z przyrodą, dramatem, który stworzył krakowski krajobraz, rozkochanie się w prapolskiej mitologji. Te same elementy natchnęły i Różańskiego do takiej, a nie innej koncepcji plastycznej, którą zaledwie w części obrazują szkice i fotografje. Bo w inscenizacjach plastycznych Różańskiego wielką rolę odgrywa barwa i światło. Te dwa czynniki dopiero w pełni kształtują architekturę, będącą — w myśl intencyj Wyspiańskiego — współczynnikiem słowa i muzyki w widowisku teatralnem „Legendy". (s. w. bal.)



Mieczysław Różański, inscenizator plastyczny „Legendy" Stan. Wyspiańskiego w Teatrze Wielkim we Lwowie.



Każda kobieta dziś wie, że pielęgnacja ciała przy pomocy nowoczesnej kosmetyki nie jest — jak się to dawniej nazywało — dowodem karygodnej próżności, lecz podwaliną kultury życia codziennego, postulatem higjeny i estetyki. Im dalej na zachód, im wyższa kultura danego narodu, tem wyżej stoi ta pielęgnacja i tem szersze ma zastosowanie. To też każda pani musi znaleźć w dniu godzinę czasu, aby poświęcić ją kulturze własnego ciała, koniecznej dla utrzymania zdrowia, młodości i pięknego wyglądu. Przy dobrej woli i systematyczności taka godzinka zawsze się znajdzie, nawet w dniu najbardziej wypełnionym pracą zawodową, czy innemi obowiązkami. A że czas ten stokrotnie się opłaci, o tem szybko przekona się każda pani, która skorzysta z naszych rad.

Racjonalna pielęgnacja urody składa się z pielęgnacji całego ciała, pielęgnacji twarzy i włosów, oraz rąk i nóg. To też kolejno zajmiemy się temi działami kosmetyki.

Pielęgnacja całego ciała polega przedewszystkiem na codziennej kąpieli. Kąpiel taka, o ile ma spełniać swe zadanie, musi być odpowiednio stosowana. Po obudzeniu się poprzedzamy ją poranną gimnastyką, poczem stojąc w wannie, mydlimy całe ciało przed zanurzeniem się w wodzie, o temperaturze wahającej się między 36 a 38 stopniami C. Samo zanurzenie nie powinno trwać dłużej, jak 5 minut, gdyż dłuższe przebywanie w ciepłej wodzie osłabia i źle działa na jędrność mięśni i muskułów. Jeśli ktoś dobrze znosi chłodny tusz, stanowi on doskonały masaż ciała po kąpieli, dla innych zastąpić go można nacieraniem suchą włósianą rękawicą po dokładnem osuszeniu skóry z wody. Następnie dobrze jest wetrzeć trochę kremu w kolana i łokcie, poczem przypudrować skórę jakimś dobrym kosmetycznym talkiem. Po takiej kąpieli czujemy się odświeżone i wypoczęte, a ożywienie krążenia krwi i rozgrzanie ciała pobudza energję i dobre samopoczucie. Od czasu do czasu dobrze jest zastosować ogólny masaż, wykonany przez fachowca.

Pielęgnacja twarzy musi opierać się na dokładnem zbadaniu właściwości danej cery. Biorąc jednak pod uwagę cerę normalną (nie za tłustą i nie za suchą) radzimy stosować następujące zabiegi.

Przed spaniem wieczorem należy twarz gruntownie oczyścić ze

Bo kobieta pragnie być piękną...

Joan Crawford podkreśla linję ust czerwonym ołówkiem...

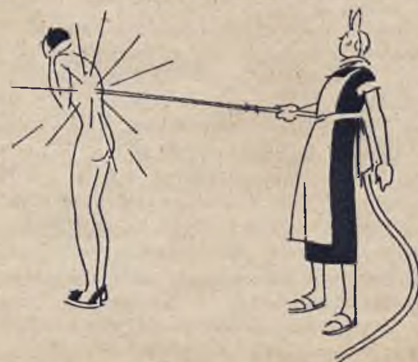


Na lewo: Nie wolno zaniedbywać regularnego mycia włosów.





Powyżej od lewej: Ręce, powieki, podbródek wymagają codziennej starannej pielęgnacji...



Na prawo: Silny prąd wody odświeża i działa zarazem jako masaż skóry...

szminki i pudru, używając do tego celu dobrego kremu z gatunku t. zw. „cleansing cream". Gdy skóra jest już zupełnie czysta, należy wetrzeć w nią lekko palcami jakiś krem odżywczy, wcierając zawsze w kierunku od dołu ku górze, aby zapobiec zwiotczeniu i opadaniu muskułów twarzy. Przy tej sposobności na miejscach specjalnie wrażliwych stosujemy lekki masaż wibracyjny, polegający na opukiwaniu końcami palców. Nigdy nie należy masować delikatnej skóry



I ramionom należy poświęcić choć chwilę czasu na racjonalną pielęgnację...

powiek, ani też pod oczami. Nie trzeba też zapominać o masażu podbródka, który w braku specjalnego apartau, można wykonać przy pomocy uderzeń wierzchem dłoni raz jednej, raz drugiej naprzemian. Od czasu do czasu dobrze jest też stosować kąpiel oczną w specjalnem naczyńku, napełnionem lekką herbatą lub naparem z bławatów.

Zabiegi poranne polegają na przygotowaniu twarzy pod maquillage. Po obmyciu jej w ciepłej wodzie (nie wszyscy ją znoszą, można to więc zastąpić jakimś neutralnym kremem oczyszczającym) dobrze jest zmyć ją płynem ściągającym (tonicum), poczem nałożyć krem pod puder w odcieniu dobranym do cery trochę intesywniejszym od barwy pudru, którego się zazwyczaj używa. Przy nakładaniu różu na policzki trzeba rozcierać go delikatnie palcami ku skroniom, aby uniknąć chorobliwego wyglądu, jaki nadają twarzy okrągłe wypieki na samych tylko kościach policzkowych. Brwi, odpowiednio uformowane pensetą (nie należy wyskubywać ich zanadto, gdyż wąziutkie mysie ogonki wyszły już na szczęście z mody), przyciemnia się lekko dobraną w kolorze kredką, rzęsy zaś szczotkuje starannie ku górze maleńką szczoteczką, lekko natłuszczoną choćby świeżą oliwą. Na wieczór efektownie wyglądają rzęsy przyczernione tuszem, lecz pod warunkiem, że nie czyni ich to sztywnemi i pozlepianemi w stroszone pęczki, jak się to często dzieje przy nieumiejętnem czernieniu. Podobnie malowanie powiek (nigdy zaś skóry pod oczymal) lepiej stosować tylko na wieczór, gdyż przy jasnem świetle dziennem wygląda to sztucznie. Używa się do tego celu stałego pudru o barwie niebieskawo-popielatej lub zielonawo-popielatej, zależnie od kolorytu twarzy. Na samym końcu, po upudrowaniu twarzy, maluje się starannie wargi, zachowując o ile możności ich naturalne kontury, przyczem pamiętać trzeba, że inny kolor kredki odpowiedni jest na dzień, inny na wieczór.



Jeśli po wyczerpującym dniu chcemy ładnie wyglądać wieczorem, trzeba zastosować odmładzającą maseczkę, która nada twarzy wypoczęty i świeży wygląd. Prócz kosztownych masek wielkich firm kosmetycznych, użyć można następującą, znacznie tańszą, a równie skuteczną. Rozrobić trzeba żółtko z małą szczyptą boraksu, 5 kroplami soku z cytryny, 5 kroplami amonjaku i 5 kroplami gliceryny. Wysmarować tem kawałek płótna z wyciętemi otworami na oczy i usta nałożyć na twarz i bez ruchu poleżeć w tej masce 20—30 minut i nie rozmawiając. Po zdjęciu maski dokładnie zmyć twarz ciepłą wodą i przygotować się pod maquillage, jak powiedziano wyżej.

Oprócz codzienych zabiegów kosmetycznych korzystnem jest udać się przynajmniej raz w miesiącu do dobrego instytutu kosmetyki dla skontrolowania cery, gruntownego oczyszczenia jej z wągrów, zbytecznego tłuszczu itp. i poddania masażowi elektryczne-

Dokończenie na str. 31.



Na lewo: Stół do masażu — jeden z wielu rekwizytów nowoczesnej kosmetyki.

Na prawo: Umiejętna praca rąk masażystki nadaje ciału piękne linie...



Poniżej: Woda — to najstarszy i najskuteczniejszy »środek« kosmetyczny...

P R Z E P I S Y

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

KALAFJOR W SOSIE (w miejsce zupy). Biały, duży kalafjor gotuje się w słonej wodzie z troszką cukru, uważając, aby pozostał w całości. Pół szklanki posolonego rosołu rozkłuca się z dwoma żółtkami i 5 dkg roztopionego masła oraz sokiem z połówki cytryny i ubija na parze na gęsty krem. Po ostudzeniu dodaje się do kremu pół szklanki ubitej młodej śmietany, miesza, wylewa sos na salaterkę i układa pośrodku ugotowany kalafior. Podaje się z krokietkami z bułki lub ryżu, albo bez żadnego dodatku.

KOTLECIKI KALAFJOROWE Z SZYNKĄ. Ugotowany kalafjor kraje się w plastry i przygotowuje równej wielkości kawałki szynki. Z dwóch jaj, 2 łyżek octu lub wina i stosownej ilości mąki ubija się ciasto trochę gęściejsze od naleśnikowego, macza w niem kawałki szynki z kalafjora, złożone razem i smaży na rozpalonem maśle, zmięszanem z oliwą lub tłuszczem roślinnym. Kotleciki należy po usmażeniu szybko podawać, gdyż przetrzymane wilgną i stają się niesmaczne. Sypki ryż lub tarte ziemniaczki jako dodatek.

KARBONADLE GRZYBOWE. Różnego rodzaju grzyby, jakie obecnie ukazują sie na targu, oczywiście doskonale skontrolowane co do swej jadalności, wymywa się pod wodą płynącą z kranu, następnie kraje wraz z sporą cebulką, dusi przez 20—30 minut i następnie zmiela na maszynce od mięsa, wraz z małą bułeczką, rozmoczoną w mleku, do masy grzybowej dodaje się 1—2 jaj, zależnie od ilości grzybów, troszkę soli i pieprzu, oraz tartej bułki, tyle, aby z masy formować się dało małe kotleciki. Te, osypane mąką, smaży się szybko z obu stron na maśle i podaje z pure ziemniaczanem lub sałatą.

WIEPRZOWINA PO BUŁGARSKU. Usiekaną drobno cebulę smaży się w ryneczce na łyżce smalcu wieprzowego, dodaje 50 dkg. pokrajanego w kostkę tłustego mięsa wieprzowego i dusi przez pół godziny. Filiżankę ryżu płucze się w zimnej wodzie, następnie parzy wrzątkiem, osącza i pokrywa nim mięso w rynce. 4 zielone papryki wydrążone z ziarn i włókien, wymywa się, kraje w kawałki i wraz z kilku pomidorami, które się parzy i obciąga z łupki, następnie kraje w plastry i układa na ryżu. Wszystko zalewa się dwoma filiżankami rosołu, przykrywa szczelnie, wstawia do większego naczynia z gorącą wodą i daje na godzinę do gorącego piecyka. Podaje się w tem samem naczyniu, otoczonem serwetą.

GĘŚ PIECZONA PO GOSPODARSKU. Przyprawioną i odleżałą w soli gęś, wymywa się i obsusza dokładnie, następnie nacina się skórę wzdłuż całej kości piersiowej, w tem miejscu, gdzie kość najwięcej wystaje, odchyla przy pomocy ostrego nożyka skórę i wycina z pod niej całe mięso. Namoczoną w rosole i wyciśniętą bułeczkę wraz z mięsem, puszcza się dwa razy przez młynek, dodaje 1—2 jaj (zależnie od wielkości gęsi), troszkę soli i pieprzu, łyżkę gęsiego smalcu, roztarty ząbek czosnku lub troszkę majeranku lub też trochę zielonej pietruszki. Farsz ten uciera się łyżką przez kilka minut na jednolitą pulchną masę, poczem nakłada się go na kość piersiową, skąd mięso było wyjęte i zeszywa skórę z powrotem, uważając, aby farsz dobrze był nakryty skórą. Gęś ułożoną w brytwance zalewa się do połowy wysokości gorącą wodą, gotuje pod przykryciem przez 1—2 godzin (znów zależnie od wielkości), następnie odlewa rosół, pozostawiając trochę na spodzie brytwanki i wstawia ją do gorącego piecyka. Przy częstem polewaniu piecze się gęś, aż nabierze z obu stron brązowego koloru. Z odlanego rosołu, zbiera się po ostudzeniu tłuszcz, którym się gęś w czasie pieczenia smaruje, przez co nabiera kruchości i koloru. Upieczoną gęś przestudza się trochę przed krajaniem, następnie odcina się całą pierś wraz z górnemi odnóżami, t. zn. skrzydłami. Te ostatnie odcina się od piersi, pierś zaś po wyjęciu zeń nitki, kraje się w skośne płatki. O ile mamy zachować pierś z gęsi na kolację (liczymy tu na 4-osobową rodzinę z normalnym apetytem), najpraktyczniej będzie pozostawić faszerowaną pierś w całości, a krajać ją zupełnie ostudzoną, gdyż wtedy kraje się ładniej. Plastry układa się na półmisku wokoło ostrej sałatki jarzynowo-majonezowej lub z czerwonej kapusty z białą fasolką, zaprawioną sosem majonezowym lub tylko octem i oliwą.

SZAMPAŃSKIE BISZKOPTY. 25 dkg. cukru, 6 całych jaj i utartą skórkę z cytryny ubija się na parze w garnuszku, wstawionym do większego naczynia z gorącą wodą. Po zdjęciu z ognia, tj. kiedy krem jest już gęsty, ubija się go dalej, aż się utworzy gęsta piana, wtedy dosypuje się, po trosze mieszając. 23 dkg najładniejszej mąki i dolewa trzy łyżeczki miodu. Masą dobrze wymieszaną, aby grudek mącznych nie było, napełnia się do połowy, gdyż bardzo narastają, odpowiednie foremki, natarte masłem kakaowem. Foremki ustawia się na dużej blasze, wsuwa do piecyka i piecze przy miernem ogniu

Sc. Ko.



Elektryfikacja gospodarstwa domowego.

W pedagogicznej kuchni „Wspólnoty pracy celem poparcia elektryfikacji gospodarstwa" w Wiedniu przedstawiono nowy sposób lukrowania pieczywa bezpośrednio na kuchni elektrycznej. Widzimy babkę oblewaną na talerzu na kuchni elektrycznej glazurą czekoladową, która szybciej zastyga. Obok szklana forma, w której babka przed chwilą została wypieczona.

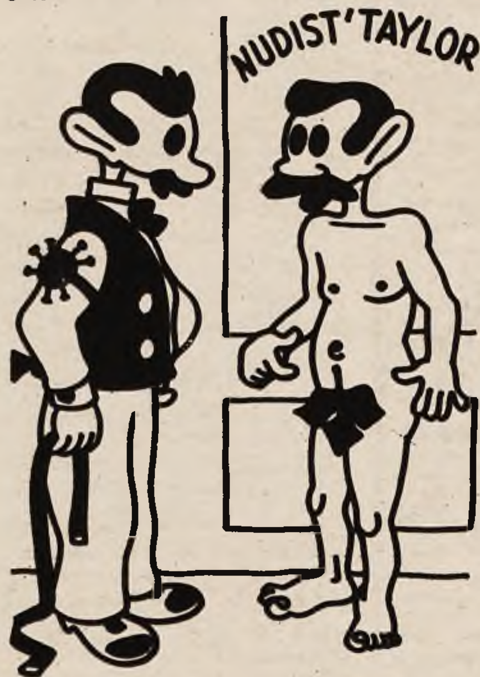
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.

Tydzień 43	Październik — 31 dni
NIEDZIELA **17** Małgorzaty	Kalafior w sosie w miejsce zupy. Pasztet z wątróbki na ciepło. Gęś po gospodarsku z duszoną kapustą. Krem winny z biszkoptami. Kolacja: Faszerowana pierś gęsi z ostrą sałatą.
PONIEDZ. **18** Łukasza Ew.	Rosół "consommé". Sztuka mięsa z musztardą pomidorową. Kuropatwy w śmietanie z makaronem. Purée z jabłek z keksami. Kolacja: Karbonadle grzybowe.
WTOREK **19** Piotra z Alk.	Barszcz czysty z uszkami. Omlet z grzybkami. Wieprzowa po bułgarsku. Gruszki z konfiturami w kremie waniljowym. Kolacja: Kotleciki z kalafiora i szynki.
ŚRODA **20** Jana Kantego	Zupa jarzynowa z płatkami. Potrawka z przodków zajęczych z kluseczkami. Befsztyki z garniturem z jarzyn. Naleśniki z serem. Kolacja: Hachée mięsne z sadzonemi jajami.
CZWARTEK **21** Urszuli	Krupnik na kościach przecierany z grzankami. Kurczę nadziewane pieczone z purée ziemniaczanem i marchewką. Kompot mieszany. Kolacja: Wątróbki w sosie z kaszką krakowską.
PIĄTEK **22** Korduli	Zupa śmietanowa z makaronem. Włoska kapusta i brukselka z masłem. Sandacz szpikowany i pieczony z tartemi ziemniaczkami i sałatą. Strudel z jabłkami. Kolacja: Sałata śledziowa z pieczonemi ziemniakami lub chlebem z masłem.
SOBOTA **23** Jana Kap.	Rosół z fasolką. Sztuka mięsa z sosem chrzanowym. Pieczeń sarnia lub zając w sosie naturalnym z makaronem. Jabłka w szlafroku. Kolacja: Pasztet z dziczyzny.

HOCKI-KLOCKI

U KRAWCA NUDYSTÓW



— Chciałbym, żeby pan „poprawił" nieco mój nowy liść figowy, bo jest mi trochę zaciasny! *(Le Rire)*

Dokończenie ze str. 29-tej

mu lub faradyzacji. Są to zabiegi, wymagające fachowej wiedzy i wielkiej ostrożności w ich stosowaniu.

Pielęgnacja włosów to przedewszystkiem ich szczotkowanie, o czem zapominają często nasze panie. Każda Angielka posiada na swej tualecie przedewszystkiem dwie duże, dosyć twarde szczotki, któremi co wieczór długo i systematycznie szczotkuje włosy, odgarniając je w różne strony. Takie szczotkowanie stanowi doskonały masaż skóry głowy, gimnastykę włosów i ich dokładne oczyszczanie z kurzu nadaje im połysk i puszystość. Myć włosy należy — zależnie od ich tłustości — co tydzień lub dwa tygodnie, przyczem ważne jest długie i dokładne opłókanie ich z mydła czy shampoonu. Po zrobieniu stałej ondulacji dobrze jest natrzeć głowę na noc czystą jadalną oliwą, zawinąć głowę płótnem, rano zaś umyć ją. Zapobiega to zbytniemu wysuszaniu włosa i jego kruszeniu się.

Przy pielęgnacji rąk, ważne jest nietylko robienie raz na tydzień starannego manucure'u, lecz również utrzymanie należyte skóry. Oprócz stałego stosowania jakiegoś delikatnego kremu. wcieranego po myciu, dobrze jest raz w tygodniu zanurzyć dłonie w kąpieli z ogrzanego olejku migdałowego. Wygładza on wspaniale skórę, uelastycznia ją i zapobiega stwardnieniom i zmarszczkom.

Pielęgnacja stóp opiera się przedewszystkiem na utrzymywaniu ich w pedantycznej czystości i na pielęgnacji paznokci zapomocą pédicure'u. Konieczne jest też noszenie wygodnego i lekkiego obuwia, gdyż tylko w ten sposób unikniemy zgrubień, zniekształceń i odcisków, szpecących nogę. E. M.

—o—

Rozwiązania z Nru 41-go.

KULE BILARDOWE.

Sześć kul można ułożyć w płaszczyźnie poziomej, trzy niżej i 3 powyżej. Razem 12 kul.

MLEKO DLA ZDROWIA.

8/27 mleka, 19/27 wody.

DROGA DO BIURA.

Autobus przejeżdża 3 km, o tramwaj 4½ km.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

SĘDZIWY OJCIEC WIRGINJUSZ.

Ala, Gucio i Tomcio, podróżując po Krainie Czarów, przybyli do sędziwego Ojca Wirginjusza. Staruszek, nakarmiwszy dzieci ciastkami z kremem, spytał:

„Dzieci, jak wam się wydaje, ile ja też mogę mieć lat?".

„85, panie", rzekła dygnąwszy Ala.

„89", powiedział Gucio po długim namyśle.

„A ja myślę, że 79", rzekł Tomcio.

Wszyskie trzy odpowiedzi były błędne, jednak błąd Ali stanowił 1/2 błędu Tomcia i 1/3 błędu Gucia. Ile lat miał ojciec Wirginjusz?

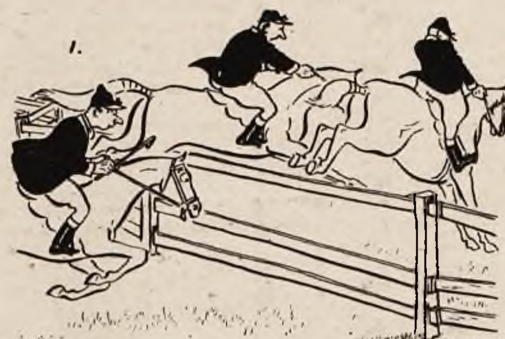
NA SPACERZE.

Pan Wróbel wychodzi z domu i idzie drogą z szybkością 4 km na godzinę ku wiosce, gdzie mieszka jego przyjaciel Skowronek. W tej samej chwili Skowronek również wychodzi z domu i idzie na jego spotkanie tą samą drogą z szybkością 3 km na godzinę. Pan Wróbel doszedłszy do połowy drogi postanowił odpocząć i usiadł przy drodze, aby czekać na Skowronka, który nadszedł dokładnie po 10 minutach. W jakiej odległości od siebie znajdują się ich domy?

TAM I Z POWROTEM.

Na półpiętro w willi prowadzi osiem stopni, nie licząc podestu. Zadanie polega na tem, aby wchodząc z parteru dwa razy wejść na podest półpiętra, raz wróciwszy na parter. Trudność leży w tem, żeby na każdy stopień stanąć jednakową ilość razy i spełnić zadanie w możliwie najmniejszej

PRZEMYŚLNY KOŃ *(The Saturday Evening Post)*

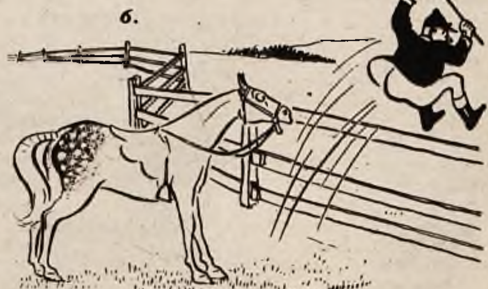


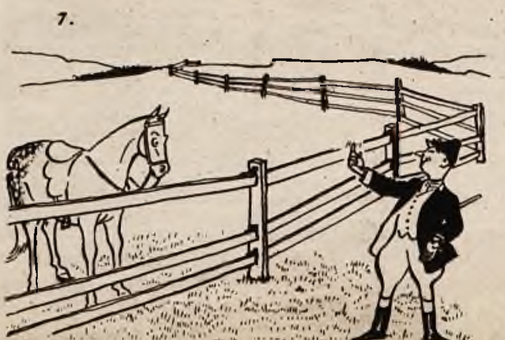


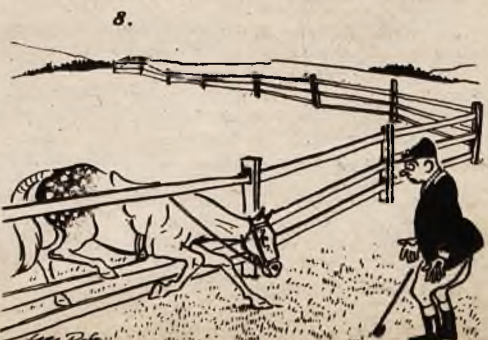












To warto poznać..

NA SCENIE.

KRAKÓW. Teatr im. Słowackiego uderzył w wielki dzwon: wprowadził na scenę (po 11 latach) **„Kaligulę“** Rostworowskiego, dramat należący nietylko do najlepszych osiągnięć świetnego dramaturga, lecz stanowiący jedną z najmocniejszych pozycyj naszego repertuaru. Tradycja teatralna tego utworu może poszczycić się wielkiemi sukcesami. Nazwiska Bończy, Solskiego, Junoszy Stępowskiego i A. Piekarskiego łączą się triumfalnie z imieniem tego cezara.

Rolę tytułową otrzymał p. Józef Karbowski, aktor o dużej skali umiejętności. Nie dał on wprawdzie jakiegoś nowego ujęcia postaci rzymskiego tyrana, ale wczuł się w wizję poety. Rostworowski jest takim mistrzem sceny, że aktorzy i reżyser mają poniekąd ułatwione zadanie: trzeba przedewszystkiem iść wiernie za niezwykle dokładnemi wskazówkami autora, dotyczącemi każdego epizodu, nieledwie każdego gestu — a wówczas całość wypadnie sugestywnie i przejmująco. Reżyser W. Radulski trzymał się naogół wiernie tekstu poety, choć poczynił kilka skrótów, bynajmniej niekoniecznych w dziele Rostworowskiego. Pozatem możnaby się spierać co do pewnych uproszczeń w akcie II: spazmatyczny śmiech spiskowców w obliczu cezara powinien budzić grozę; spiskowcy nie mają zataczać się od śmiechu: należało wydobyć histeryczny ton tej „wesołości“. To samo trzeba powiedzieć o rozmowach spiskowców tuż przed zamordowaniem cezara: mają oni głosy zdławione trwogą... Otóż niektóre słowa tak'ego Asprenasa brzmiały zbyt jowialnie. Tempo widowiska miało chwilami rytm zbyt powolny (zwłaszcza w pierwszej odsłonie!).

Afisz teatralny przynosi ponad dwadzieścia nazwisk artystów. Wymieńmy z nich przynajmniej: J. Jaroszewską jako Lolję, T. Burnatowicza (Callistius), W. Woźnika (Cherea), T. Suchecką (Caesonia), Z. Modzelewskiego (świetny Regulus), W. Nowakowskiego (Protogenesa) i T. Białkowskiego (Demetrius).

Oprawa dekoracyjna (system kotarowo-monumentalny) jest dziełem p. Karola Gajewskiego, interludja muzyczne — p. Marjana Rudnickiego.

WARSZAWA. Teatr Letni wystawił rzadko grywaną komedję Fredry p. t. **„Przyjaciele“**. Jest to szczęśliwe posunięcie dyr. Trzcińskiego. Nie brak w tym utworze ciepłych akcentów uczuciowych w rozmowach zakochanych, przyczem, jak zauważył W. Natanson, przypominają się najlepsze wzory przekomarzań miłosnych Musseta. Pole do popisu znalazł tu Fertner, grający po raz pierwszy na scenie stołecznej rolę fredrowską. Jego Smakosz utrzymany był w dobrym guście komedjowym i wnosił wiele wesołości. Duży sukces odniosła dawno niewidziana w Warszawie Jadwiga Zaklicka, artystka o wysokiej kulturze i nie powszednim talencie.

W Stołecznym Teatrze Powszechnym ujrzeliśmy **„Okrężne“** J. Korzeniowskiego, widowisko oparte, jak można wnosić z tytułu na obrzędach ludowych. To właśnie skłoniło Teatr Powszechny do wystawienia tej sztuki. Nadano jej charakter niemal misteryjny. Z wykonawców wyróżnić trzeba Tomaszewską i Żukowskiego.

POZNAŃ. Teatr Polski zaprezentował znane już z innych scen polskich **„Małżeństwo“** węgierskiego autora, Jana Vaszariego. Komedja ta jest pogodną apoteozą wierności małżeńskiej. Żona zapracowanego męża czuje się osamotniona, pozostawiona na boku, szuka przygodnego flirtu, ale ostatecznie wszystko kończy się happy endem. Główne role przypadły p. Elżbiecie Łabuńskiej i Robertowi Boelkemu; rywalem małżonka pięknej pani Heleny był pianista Sorda, p. Zdzisław Mrożewski. Z innych wykonawców trzeba wspomnieć o pp. Noskowskim w roli starego bankiera, K. Żbikowskiej, Konarskim i Veithównie. Reżyserował p. Czengery.

Na otwarcie sezonu operowego wybrano **„Ijolę“** Piotra Rytla (według utworu J. Żuławskiego), dotychczas niegraną w Poznaniu. Wystawiono ją z wielką pieczołowitością. Na premjerę przybył prof. Rytel, gorąco oklaskiwany przez licznie zebraną publiczność. Rzęsiste brawa nagrodziły też dr Latoszewskiego, kapelmistrza opery oraz zespół śpiewaczy. Rolę tytułową odtworzyła p. Marja Bojar-Przemieniecka. Partję tenorową wykonał p. Mieczysław Salecki, znany ze swych występów zagranicznych i z radja. Korzystnie zaprezentowała się w roli pazia p. Sława Bestani, a ponadto pp. Marja Janowska-Kopczyńska, E. Maj, W. Łuczyński, K. Urbanowicz. Monumentalne dekoracje opracował p. Zygmunt Szpingier.

J. J.

NOWA WYSTAWA W KRAKOWSKIM PAŁACU SZTUKI



W ubiegłą niedzielę otwarto w Krakowie wystawę grupy akwarelistów warszawskich: Aleksandra Boby, Mieszka Jabłońskiego, Ludwika Misky'ego, Jerzego Rupniewskiego, Fr. Linalbergera i grafika Fr. Jaźwieckiego. Na zdjęciu od lewej: Znany pomorski art. mal. Jerzy Rupniewski objaśnia zwiedzających wystawę: p. wiceprezydenta adw. Klimeckiego, hr. Scipio del Campo, wiceprez. Radzyńskiego i art. mal. W. Wodzinowskiego.



Niedziela, 17 października.

9.00 Regjonalna transmisja z Wejherowa.
11.30 II regjonalna transmisja z Wejherowa.
12.03 Poranek symfoniczny.
13.10 „Salon i ulica“ — fragment satyryczny.
13.30 Muzyka obiadowa.
14.45 Audycja dla wsi.
16.05 Rozstrzygnięcie Wielkiego Letniego Konkursu P. R.
16.25 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego.
16.45 „Anielcia i życie“ — powieść wiona.
17.10 „Anielcia i życie“ — powieść mówiona.
17.30 Audycja w 88-mą rocznicę zgonu Fr. Chopina.
18.30 Koncert solistów.
19.35 I audycja z cyklu „Słynni wirtuozi“ (płyty).
22.00 Arje z polskich oper.
22.30 Ostatnie wiadomości dziennika wieczornego.

Poniedziałek, 18 października.

11.40 „Od warsztatu do warsztatu: Co mówi blacharz o swoim zawodzie“.
12.02 Audycja południowa.
15.45 „Z pieśnią po kraju“.
16.15 Orkiestra rozrywkowa (z Łodzi).
17.00 „Galileusz i Newton“ — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
18.10 Śpiewacy operowi w repertuarze operetkowym (płyty).
19.00 Audycja żołnierska.
19.30 Dyskutujmy: „Czy historja mówi prawdę“.
20.00 Orkiestra mandolinistów „Sempre vivo“.
21.00 Europejski koncert włoski.
22.20 Recital fortepjanowy Merete Söderbjelm.

Wtorek, 19 października.

15.45 „Kraj lat dziecinnych“ — obrazek z lat dziecinnych Adama Mickiewicza.
16.15 Kwartet salonowy Rozgłośni Krakowskiej.
17.00 „Motocyklem na Wystawę Paryską“ — pogadanka.
17.15 Recital fortepjanowy Marcelego Neumillera.
19.00 „Puławy — salon literacki Czartoryskich“ — wiecz. liter.
19.40 Audycja konkursowa.
20.00 Otwarcie nowego gmachu Rozgłośni Katowickiej.
22.00 Nowa siedziba Rozgłośni Katowickiej — reportaż.
22.05 Koncert Małej Orkiestry P. R.

Środa, 20 października.

11.40 Marsze Edwarda Griega — płyty.
15.45 Henryk Morton Stanley — audycja dla dzieci.
16.15 Z muzyki angielskiej — koncert w wyk. Ork. A. Hermana.
17.00 Piechota na nowoczesnem polu walki — odczyt.
17.15 „Jesienią“ — koncert chóru solistów.
18.10 Melodje filmowe w wyk. zespołów salonowych.
18.35 Audycja dla wsi.
19.20 Pieśni Aleksandra Zarzyckiego.
20.00 W rytmie tanga i rumby (płyty).
21.00 Koncert chopinowski.
21.45 „Piękno mowy polskiej“ — kwadrans poetycki.
22.00 Koncert popularny.

Czwartek, 21 października.

11.15 Polski taniec artystyczny — poranek muzyczny.
11.40 Muzyka na 2 fortepjany (płyty).
15.45 Wędrówki muzyczne (z Wilna).
16.15 Mała Orkiestra P. R.
17.15 Koncert solistów.
18.25 Muzyka z płyt.
18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej.
19.00 Słuchowisko: „Uczciwy spadkobierca“.
20.00 Koncert rozrywkowy.
21.30 Audycja poświęcona pamięci Gustawa Daniłowskiego.

Piątek, 22 października.

11.40 Harfa i flet (płyty).
16.15 Wesoło i sentymentalnie — koncert.
17.00 Kształcenie pracowników społecznych — odczyt.
17.15 Koncert solistów.
18.10 Z egzotycznych suit (płyty).
18.35 Audycja dla wsi.
19.00 Komedja Fredry „Dożywocie“.
20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonji Warsz.

Sobota, 23 października.

6.15 Audycja poranna.
11.40 Tenor Georges Thill w duecie i solo (płyty).
15.45 Słuchowisko dla dzieci p. tyt. „W pustyni i w puszczy“.
16.15 Koncert orkiestry wojskowej.
17.00 Jedyna miłość Juljusza Słowackiego — odczyt.
18.15 Siostry Trix śpiewają (płyty).
19.00 Audycja dla Polaków zagranicą.
20.00 Koncert mandolinistów.
21.45 „Zbawca“ — skecz.
22.00 Koncert Orkiestry Polskiego Radja.

Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa“, zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych artykułów Redakcja nie zwraca

Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A. — PRINTED IN POLAND.